Rok IV. Kraków, dnia 5 i 20 Stycznia 1885 r. Nr. 1. i 2.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny redaktor K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
ul. Sławkowska, hotel Saski.

W Warszawie: *prenumerata rocznie 4 rs., półrocznie 2 rs. Z przesyłką do Cesarstwa i Królestwa rocznie 6 rs., półrocznie 3 rs. Skład główny w Warszawie u G. Centnerszwera. (Ul. Marszałkowska 73).*
Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.

BAJKA.

Kto sens moralny w tej bajce znajdzie
Niech ucałuje kraj własnej szaty...

Było trzech braci (jak w każdej bajdzie)
Dwóch było mądrych, trzeci żonaty.

A mieli matkę biedną, schorzałą,
Którą kochali wszyscy potrosze;
Ta, czując życia już w sobie mało
Rzekła do mądrych: ratujcie, proszę!

Pan Piotr najstarszy „maminy synek“
Zabronił chorej wszelkiego ruchu,
Bo konserwuje tylko spoczynek,
Martwota w ciele, martwota w duchu;
Trzeba spać dużo i dużo jadać
Nigdy nie myśleć, broń Boże gadać.

W rok po leczeniu takim sposobem
Matka już stała prawie nad grobem.

Paweł, radykał, inną metodą
Myślał staruszce powrócić zdrowie:
Pragnął w jej żyły puścić krew młodą,
Dał wszelką wolność ruchom i mowie,
Kazał ciężary wznosić do góry
I słabą głową przebijać mury.

Gdy tej kuracyi zbiegło pół roku,
Dostała matka stara krwotoku.

„Źle — pomyślała — już życia kraty
„Zamkną się za mną w niedługiej porze...
„Mądrzy źle radzą, niech więc żonaty
„Odwiedzi z radą matczyne łoże!“

Przyszedł syn trzeci, spojrzał w twarz bladą
I dostrzegł jeszcze nadzieję życia.
Myślał — i z taką wystąpił radą:
„Ruch zabezpiecza ciało od gnicia,
„Ale użyty umiarkowanie.
„Dobrze jest działać, lecz bez hałasu,
„Nie rwać się naprzód, gdy sił nie stanie.
„Do wyleczenia potrzeba czasu,
„A więc powoli dążmy do celu...“

Zdrowie wróciło po dniach niewielu.

B.

WARSZAWIAK NA WSI.

OPOWIADANIE JÓZEFA BLIZIŃSKIEGO.

W roku 1859 jak zwykle co rok, znajdowałem się z powodu interesów świętojańskich w Warszawie. Załatwienie ich tym razem dużo mi czasu zabrało, tak że dopiero w końcu lipca, gdy już żniwa, jak mi mój ekonom donosił, rozpoczęły się w najlepsze, mogłem pomyśleć o powrocie do domu.

Było to, pomnę, w sam dzień św. Jakóba, to jest 23 lipca. Porobiwszy potrzebne dla domu sprawunki i poodsyławszy je do mojej stancyi w Polskim hotelu, szedłem od placu teatralnego koło mennicy, dążąc do mieszkania, w zamiarze przysposobienia się do drogi na dzień następny. Byłem zadumany, bo rachowałem w myśli opłacone procenta i inne wydatki. Wtem, spojrzawszy machinalnie wprost siebie, ujrzałem kroczącą przedemną niewielką figurkę, w której po pretensyonalnym stroju i ruchach, po kapeluszu włożonym z wdziękiem na czubek głowy i zaczesaniu włosów, a mianowicie po niezmiernie kraciastych pantalionach, poznałem kolegę mojego szkolnego, urzędnika, pana Zefiryna (nazywaliśmy go Zefirkiem) Drypcińskiego. Lubiłem go dla wesołego zawsze humoru i zapasu nowinek miejskich, lecz w tej chwili, myśląc tylko o jak najprędszem wydostaniu się z Warszawy, nie zaczepiłem go, obserwując tylko zdaleka.

Z Bielańskiej ulicy skręcił w Długą, zmierzając wprost w stronę znajdujących się tam trzech zajazdów obywatelskich, gdzie i ja dążyłem. Przez drogę przywitał się kilkanaście razy. Przed damami i starszymi urzędnikami uchylał z uszanowaniem i wdziękiem kapelusza; z poufałymi witał się całusem od ust, z których jeden dostał się także jakiejś zgrabnej dziewczynie, niosącej sprawunki, z powierzchowności i stroju wyglądającej na pannę służącą; wreszcie nie przepuścił i żydkowi, kłaniającemu się z miną porozumienia, którego wziął poufale za bródkę.

Wszedł nareszcie do Niemieckiego hotelu. Przechodząc koło bramy, spostrzegłem, jak zatrzymawszy się przed kartą, czytał nazwiska stojących tam podróżnych. Poszedłem dalej, mając jeszcze interes do pobliskiego handlu korzennego. Załatwiwszy się tam nareszcie i idąc już do siebie zetknąłem się z nim właśnie w chwili gdy w bramie hotelu Polskiego pytał się szwajcara o moje mieszkanie.

— A, witaj szlachcicu! — zawołał ujrzawszy mię, o wilku mowa.

— Zefirek! cóż tu porabiasz?

— Szukam ciebie, dowiedziałem się od Stasia, że jesteś w Warszawie.

— Od trzech tygodni.

— Że też nigdzieśmy się nie spotkali.

— Prawda... Ale tymczasem, kiedyś szedł do mnie, to proszę. W bramie nie mamy co robić...

— Z gustem...

Poszliśmy na górę. Zefirek rzucił mi się na szyję, ściskając z czułością. Poczęstowałem go cygarem. Paplał jak nakręcona maszynka, ale pomimo to uważałem, że nie był w swoim zwykłym różowym humorze.

Było mniej więcej południe.

— Cóż to znaczy, zagadnąłem, że Zefirek o tej godzinie na mieście?.. Czy nie ze śniadanka?

— Ej, gdzie tam!.. Prawda, że jestem wolny, jak ptak wypuszczony z klatki... mam rekreacye; ale... istotnie los mnie prześladuje. Wystaw sobie, że trzy tygodnie temu był tu nasz kolega szkolny... pamiętasz, z czwartej klasy... Alfons Mroczek... Mieszka teraz w Krakowskiem. Otóż, zaprosił mnie do siebie na wieś, zapewniając, że przyjedzie po mnie w końcu lipca. Podałem się o urlop na 28 dni, który ledwo po wielkich staraniach mi udzielono... lecz cóż powiesz, właśnie gdym go miał już w kieszeni, odbieram list z poczty z czarną pieczątką od Alfonsa. Pisze, że mu umarł w Lubelskiem stryj, na którego pogrzeb musiał jechać, a że potrzebuje załatwiać interesa spadkowe, przeprasza mię, inwitując do siebie na Wrzesień. Niby ja mogę czekać!.. Ledwie dostałem urlop, a drugi raz pewnobym go nie dostał. To się nazywa puścić kogo w trąbę... co! (przepraszam czytelniczki za niektóre wyrażenia Zefirka). Jak gdyby mię z nóg ściął. Wystaw sobie, ja co nigdy w życiu nie byłem na wsi, obiecywałem sobie tysiące przyjemności... a tu siedź w tym kurzu miejskim, wśród wyziewów z rynsztoków, z urlopem w kieszeni.

Te słowa o kurzu miejskim i wyziewach rynsztokowych wymówił tonem, z którego niktby nie wniósł, że od lat blisko trzydziestu napawał się niemi, nie marząc o czem innem.

Żal mi się go jednak zrobiło. Przyszło mi na myśl, że bez wielkiej z mojej strony ofiary, mogę go uszczęśliwić. Rzekłem więc:

— Jeżeliś gotów i masz już urlop, to możesz te rekreacye przepędzić gdzieindziej; jedź do mnie.

— Co ty mówisz? Kiedy? zakrzyknął, wlepiając we mnie iskrzące się oczy.

— Jutro. Wybierz się dzisiaj i przybądź rano na siódmą, to pojedziemy.

Aż podskoczył.

— Brawo! wybornie! kochany Józieczek!... A w których stronach mieszkasz?

— W Kujawach.

— Gdzież to jest?

— Nie wiesz gdzie Kujawy!

— Przyznam ci się... wiedziałem, ale... za któremiż to rogatkami?...

— Pojedziemy koleją...

— Aha! to w Częstochowskiem?

— Zefirku! zapomniałeś geografii.. czyż nie wiesz gdzie Włocławek?

— Więc to powiat Włocławski! czemużeś odrazu nie powiedział. My w biurowości znamy tylko powiaty. Wiem, wiem, nad Wisłą. Ale... za pozwoleniem... kolej w tamtę stronę nie idzie...

Przypominam, że to działo się w roku 1859, gdy nie było eszcze kolei bydgoskiej. Objaśniłem więc Zefirka, że dojedziemy do Łowicza, a ztamtąd ruszymy dalej na kołach.

— A dalekoż to za Łowiczem? — zapytał.

— Kilkanaście mil, aż nad granicą pruską.

— Co mówisz? nad granicą? Więc będę widział granicę!..

Zefirkowi zdawało się, że ztamtąd zobaczy już resztę Europy.

Po wielu jeszcze naiwnych pytaniach, na które odpowiadałem, stanęło na tem, że Zefirek, wypakowany kompletnie, stawi się nazajutrz rano na godzinę przed odejściem pociągu, którym mieliśmy ruszyć.

Wyobrażam sobie, że myśl o tej podróży spać mu nie dała, gdyż o wiele uprzedził umówiony termin, i to całe szczęście; bo przysposobił się do drogi tak niepraktycznie, iż musiałem porobić niektóre modyfikacye w jego upakowaniu. Przybył, gdym jeszcze leżał w łóżku, ubrany jak na wody, w cylindrze na głowie. Dwóch tragarzy wniosło za nim ogromny kufer, wysoki, drewniany, dobrze okuty, w rodzaju tych, jakich babki nasze używały do chowania robronów albo firanek.

Na okazane zdziwienie z mojej strony, sądząc, że chodzi o ciężar, zaręczył mi, że rzeczy jego zaledwie połowę kufra zajmują, reszta zaś jest próżna; gdy zaś wytłumaczyłem mu, że ani na bryczkę pocztową, ani do powozu się nie zmieści, zafrasował się nie na żarty, myśląc, że z podróży nic już nie będzie. Wybawiłem go z kłopotu, pchnąwszy numerowego po żydka, od którego kupiłem za kilka rubli tłómoczek i w takowy kazałem jego rzeczy przepakować.

Pojechaliśmy przecie na kolej. Za przybyciem obstąpili nas zaraz posługacze, łapiąc za rzeczy. Zefirek nie mógł się zdecydować powierzyć swoich; zdawało mu się, że przepadną. Sam poszedł do wagi, gdzie skrupulatnie sprawdził numera na bilecie i przylepionej na tłumoczku kartce. Nie podobało mu się, że wrazie zagubienia, wracają tylko po rublu za funt i w myśli obrachowywał straty, jakie w tym wypadku może ponieść. Myślał już nawet, czyby nie wziąć rzeczy z sobą do wagonu, ale już było za późno: jego tłómoczek wpadł jak w otchłań pomiędzy masy różnych bagaży, a odebrać go nie mógł, bo mu nawet dostąpić doń nie pozwolono. Dla naprawienia mu humoru zaręczyłem, że wypadki zatracenia pakunku są nadzwyczaj rzadkie, a nawet wziąłem na siebie wynagrodzenie mu z własnej kieszeni przypuszczalnej straty.

Usadowiliśmy się nareszcie w wagonie. Zefirek wlazł cały w okno, wychylając się na zewnątrz; pragnął, żeby wszyscy widzieli, że wyjeżdża z Warszawy. Nie byłbym w stanie opisać wyrazu politowania i wyższości, z jakim spoglądał na wszystkich tych, co pozostawali w mieście. Przez całą drogę do Łowicza nudził mnie najnaiwniejszemi w świecie zapytaniami; robił spostrzeżenia prawdziwie dziecinne: dziwiła go każda trzoda bydła lub owiec, pasąca się na polu, bawił każdy pies goniący lokomotywę.

— Czy będziemy jeździć konno na wsi?

— A jakże! będziemy. Czy jeździsz?

— Na żywym nie jeździłem, ale parę razy na Saskiej Kępie karuzelem.

— No, to się wprawisz. A lubisz polowanie?

— Pasyami. — Czy masz karabin?

— Karabina nie mam, ale parę dubeltówek.

— Wieśniaczki ładne w twoich stronach?

— Niczego...

— A sąsiedztwa są?

— Nie brakuje; jest kilkanaście ładnych panien.

— Są panny? a to ślicznie. Jak zobaczą warszawiaka... hm!. hm! Bo trzeba ci wiedzieć, że dla parafianek, warszawiak jest ideałem *szyku*... wyrocznią w rzeczach smaku.

Uśmiechnąłem się w duszy, ale nie chciałem wywodzić Zefirka z błędu.

— Kto wie? rzekł poufnie, przysuwając się do mnie, mogę zrobić karyerę... Więc mówisz, że są panny?

— Kilkanaście.

— Quelque chose de porządne?

— Naturalnie, a do tego posażne.

— Posażne i ładne!..? — zapytał oblizując się.

— Przystojne, a kilka wcale ładnych.

— Wiesz co, to może być rzecz; a będziemy bywać wszędzie?

— Rozumie się.

— Lansiera tańcują już u was?

— A jakże.

— To dobrze, będziemy tańczyć! ja celuję w lansierze.

Zefirek pogrążył się w złotych marzeniach; widział się już mężem bogatej dziedziczki, miał powóz, konie, liberyą, a co najważniejsza, nie chodził już do biura. Z kilku pytań i przemówień jego do mnie w ciągu dalszej drogi, odgadłem całe pasmo wdzięcznych obrazów, snujących się w jego wyobraźni.

Przybyliśmy do Łowicza, zkąd ruszyliśmy dalej extrapocztą. Zefirkowi podobała się z początku jazda, bo pocztylionowie nasi lubią nie oszczędzać koni i trąbią bezustanku; ale niezadługo zaczął się poprawiać na bryce i odzywać się z protestacyami przeciwko jej budowie. Wiadomo, że bryki extrapocztowe na wszystkich stacyach w Królestwie sławnie trzęsą. Zaprowadzone na jeden kształt w całym kraju, bryki te musiały przejść zapewne przez jakiś rodzaj konkursu, którego zadaniem było wystawienie modelu sprzeciwiającego się wszystkim warunkom wygodnej jazdy. Biada podróżnemu o delikatnych kościach, który nie wziąwszy własnego powozu, puszcza się w drogę ekstrą, jak technicznie mówią na poczcie.

Przejechawszy ośm mil do Krośniewic, Zefirek kości nie czuł i chciał się koniecznie smarować; ledwiem mu wyperswadował, zaręczając, że będzie teraz jechał wygodniej. W Krośniewicach czekały na nas moje konie, z wolantem na resorach; odpocząwszy więc nieco i przejadłszy coś, ruszyliśmy w dalszą drogę, traktem już nie żwirowym. Cały ten dzień było bardzo parno. Ku wieczorowi na zachodzie zaczęła pokazywać się chmura, obiecująca niezwykłą burzę. Niebo przybrało brudno-ołowianą barwę i zrobiło się tak ciemno, jak po zachodzie słońca. Przed nami na czarnem tle widnokręgu błyskały zdala piorunowe wężyki, a głuchy grzmot, który jadąc po miękkiej drodze słyszeliśmy doskonale, towarzyszył nam nieprzerwanie.

Zefirkowi podobał się bardzo ten wspaniały obraz, póki mógł obserwować go zdaleka. Ale niebawem groźne chmury przybliżyły się i zerwał się gwałtowny wiatr, zapowiadający nawałnicę. Ten objaw rozdąsanej przyrody zaczął oddziaływać na nerwy Zefirka, który jak żył, takiej chmury nie widział. Nad Warszawą przeciągają także burze, ale tam nikt ich nie spostrzega; każdy kogo zastanie na ulicy, jeżeli nie zdąży do domu, ucieka do pierwszej lepszej bramy, z której widzi tylko deszcz i słyszy grzmoty, ale nie jest świadkiem całej walki żywiołów; Zefirka więc to nowe dlań widowisko zaczęło widocznie niepokoić. Mieliśmy parasol, który już rozwinął nad sobą, starając się przedewszystkiem ochronić cylinder; ale wnet przypomniał sobie z fizyki, że żelazne okucie ściąga pioruny. Gdy więc trzasło niedaleko raz i drugi, zwinął parasol pomimo rzęsistego już deszczu i schowawszy cylinder pod fartuch, otulił się płaszczykiem, przykrywszy głowę peleryną. Wówczas zagrała co się zowie piekielna muzyka: pioruny biły jak armaty w czasie szturmu, kilka razy nawet tak blizko, że aż konie się zestraszyły, a deszcz łomotał w same oczy. Zefirek prosił na miłość boską, aby zajechać gdzie do oberży; byłbym sam chętnie na to przystał, bo pomimo doskonałej burki, której kaptur nasunąłem na oczy, zmokłem już do nitki, ale na złość, burza napadła nas w miejscu, gdzie trakt nie przechodził przez żadną wieś większą i do najbliższej karczmy było jeszcze kilka wiorst. Zrozpaczony więc wlazł cały pod fartuch, tłukąc mnie po nogach i jęcząc za każdem stuknięciem kół o kamień.

Dobiliśmy przecie do oberży. Gdy wjechawszy pod dach wyciągnęliśmy z pod fartucha Zefirka, wyglądał jak nieboskie stworzenie, a jeszcze smutniej jego kapelusz, na którym siedział w tem schronieniu przez cały czas burzy. W domu stanęliśmy w nocy, a raczej nadedniem. Zefirek przeklinał tę pierwszą próbkę przyjemności wiejskich, a wypiwszy parę szklanek herbaty, położył się w łóżko i spał do godziny pierwszej w południe.

Używszy wczasu do woli, gdy wstał z łóżka, zapomniał o przykrościach dnia poprzedzającego, pomimo bólu pozostałego w kościach. Po deszczu i nawałnicy, nastała prześliczna pogoda, powietrze pachniało. Zefirek zaledwie otarłszy usta po śniadaniu, wybiegł na świat pomiędzy gumna, gdzie zwożono żyto, do ogrodu, w pole. Cieszył się wszystkiem i dziwił się najmniejszej rzeczy jak dziecko; ludzie spoglądali nań jak na raroga, tak naiwne robił mi zapytania.

Nie skończyłbym, gdyby mi przyszło wyliczać przygody, jakie go spotkały skutkiem zupełnej nieznajomości wiejskiego trybu życia. Przedewszystkiem pragnął spróbować wierzchowej jazdy: zdawało mu się, że dosyć jest dostać się na konia, aby jechać na nim. Kazał sobie okulbaczyć mojego wierzchowca; ale gdy nie dosiadłszy nawet jeszcze siodła, zleciał na drugą stronę niepokojącego się siwka, zaczął ostrożniej tę rzecz traktować. Odtąd każdy koń zdawał mu się nadto bystrym, z niedowierzaniem badał jego ruchy i za lada parsknięciem odskakiwał na kilka kroków. Wybrał sobie nareszcie najspokojniejszą jaką mógł upatrzyć szkapę fornalską i wgramoliwszy się na nią przy tysiącznych ostrożnościach z pomocą dwóch ludzi, uroczystym krokiem objeżdżał podwórze, dozwalając kobyle skubać trawę po drodze, bo nie miał odwagi cywilnej do poskromienia tej swawoli.

I ta jednak niewinna rozrywka nie obyła się bez tragikomicznego wypadku; raz bowiem zachciało się zaimprowizowanej wierzchówce wleść w sadzawkę. Napiwszy się do syta, w czem jej Zefirek nie przeszkadzał, zaczęła uderzać nogą w wodę, co jak wiadomo, jest objawem ochoty do użycia kąpieli. Opryskiwany błotem Zefirek niecierpliwił się i zabierał do odwrotu, ale z takim brakiem energii, że kasztanka, za nic sobie nie uważając jego usiłowania, położyła się bez ceremonii, przyciskając sobą niefortunnego jeźdźca, który wsparty na łokciu, nos tylko pokazywał nad zdradliwym żywiołem i byłby się opił niewątpliwie brudnej wody, gdyby nie prędka pomoc fornala, znajdującego się szczęściem w pobliżu. Zmoczony i zestraszony, wyprzysiągł się jazdy wierzchowej i przejażdżki odtąd odbywał biedką na dwóch kołach, służącą do posyłek. Nauczył się nawet sam konia zaprzęgać; ale gdy raz niedobrze przymocował dyszle, te, odczepiwszy się od konia, poszły nagle w górę, a korpus biedki na dół; gdy zaś Zefirek, zmieszany tym niespodziewanym wypadkiem, podał się w tył, cały wehikuł przewrócił koziołka, przykrywając go sobą jak klatką. Ekonom mój, wyjechawszy w pole, spotkał go w tej niewygodnej pozycyi, jęczącego z bólu, bo się potłukł nie na żarty.

Wypadek ten zraził go zupełnie do koni i wszelkich przejażdżek, a natomiast przeobraził go w myśliwego. Skaptował sobie parą złotemi starego Tomasza, pełniącego u mnie obowiązki lokaja i strzelca, i zaczął brać od niego lekcye nabijania i obchodzenia się z bronią; strzelał od rana do wieczora i wypsuł mi prochu niemało, a raz o mały włos całych gumien nie spalił, strzeliwszy do wróbla na dach stodoły. Od tego czasu, ostrożniejszy, strzelał na polu za ogrodem, ale nie mogąc nic zabić, najczęściej obywał się samym prochem, bo go bawiło pukanie.

Tak pędził dni Zefirek w domu; po za domem jeździł ze-

mną do kościoła i w sąsiedztwa. Pierwszej zaraz niedzieli po przybyciu, pojechaliśmy na nabożeństwo do parafialnego kościoła. Oprócz mnie, dwóch sąsiadów bezżennych, dwóch małżeństw, z których jedno bezdzietne, a drugie cieszące się kilkorgiem konsolacyi jeszcze niedorosłej, należały do parafii dwa domy mające panny na wydaniu: państwo radcostwo (sam był radcą dyrekcyi ubezpieczeń) Góronowscy z Kozłowej Woli i państwo Wydzierkowscy z Piliszkowa.

Zefirek zobaczył naraz całe sąsiedztwo. Był olśniony, nie widział bowiem nigdy razem tyle ekwipażów czterokonnych; przypomniał mu się ślub jakiś u Kapucynów w Warszawie przed kilku laty, którego parada uderzyła bardzo jego wyobraźnię. Państwo Góronowscy z panną Olimpią przyjechali nową karetą w cztery konie szpakowate; nieosobliwe, ale rosłe i w szory angielskie przybrane, zatem dla Zefirka bardzo pokaźne. Na koźle siedział stangret w długim angielskim surducie granatowym, ze złotemi herbowemi guzikami, w czapce ze złotym galonem i białych rękawiczkach. Karetę zastaliśmy już przed kościołem. Obok niej stało lando oszklone państwa Wydzierkowskich, widocznie odnowione, bo fasonem zdradzało dawniejsze pochodzenie. Istotnie też kupione było na licytacyi, czy wzięte w długu od kogoś. Woźnica miał na sobie płaszcz szaraczkowy z białemi guzikami, z cyfrą W. Przechylony na koźle, rozprawiał coś ze stangretem państwa Góronowskich, który siedział wyprostowany i z góry spoglądał na kolegę. Dalej stał staroświecki powozik państwa Starzyckich, stadła w podeszłym już wieku, bezdzietnego, oraz jeszcze jeden powóz i parę bryczek, nieodznaczających się niczem szczególnem. W chwili gdyśmy zajeżdżali przed kościół, z przeciwnej strony nadleciał pędem wolant świeży warszawski, zaprzężony w cztery konie dobre, wilczate, w pocztowych chomątach. Obie czwórki stanęły jednocześnie przed bramą cmentarza, a furmani nasi jak na komendę palnęli z biczów. Zefirek był zachwycony, chociaż mój Marcin w zbytecznym ferworze, zwijając bicz, zrzucił mu czapkę z głowy. Z wolantu wyskoczył sąsiad mój, pan Atanazy, majętny kawaler na wydaniu, cel westchnień kilku panien i machiawelskich zabiegów tyluż matek i ciotek. Po zapoznaniu z nim Zefirka, weszliśmy do kościoła, trafiwszy na chwilę, gdy ksiądz proboszcz po kazaniu schodził z ambony. Przecisnąwszy się przez tłum ludzi, ulokowaliśmy się w prezbiteryum w ten sposób, że mieliśmy na oku pryncypalne ławki, zajęte przez kobiety.

Państwo Góronowscy z córką Olimpią, panną już dwudziestokilkoletnią, wdzięków nieosobliwych i nieco przewiędłych, ale bardzo dystyngowaną, siedzieli w ławce ozdobionej wypłowiałym baldachimem i umieszczonej po prawej stronie ołtarza. Obie panie modliły się przykładnie z książek, których kilka leżało przed niemi i parę razy tylko rzuciły na nas spojrzeniem, w którem jeżeli kwitła ciekawość, to tak zobojętniona przyzwoitością formy, że jej widać nie było. W ławce stojącej na drugiej stronie prezbiterium pod amboną, rozpierała się pani Wydzierkowska, Tuzinkiewiczówna z domu i jej dwie córeczki. Prawo do siadania w tej ławce nabył pan Wydzierkowski wraz z Piliszkowem kupionem przez licytacyą. Przedtem zajmował ją kto chciał, od lat kilku bowiem Piliszkowo nie miało dziedzica; ale nowy nabywca, jako były wójt gminy, biegły w wynajdywaniu środków uprawomocnienia wszelakiego nabytku, a nieufający zbytecznie własnej powadze, kazał dorobić kluczyk do zamykania ławki, przez co jago *panie* były już pewne dystyngowanego miejsca w kościele. Fisia i Nasia, to jest Feliksa i Natalia, było to sobie dziewczęta młode, lat siedemnastu i ośmnastu, zdrowe, przystojne, a nawet ładne, ale tą ładnością przedpokojową, która zachwyca tylko w pannach służących; mogłyby się jednak pomimo to podobać, gdyby nie nieszczęśliwe wzięcie i grube czerwone rączki. Wad tych jednakże w tej chwili nie było widać, a nawet rączki w paliowych rękawiczkach wyglądały bardzo schludnie. Młodych tedy reprezentantek płci nadobnej obywatelskiej znajdowało się trzy w kościele. Dla Zefirka były one wielką dystrakcyą w nabożeństwie; nawzajem Fisia i Nasia, a nawet i mama, widząc obcą w parafii figurę, z natrętną ciekawością zwracały ku nam ciekawe spojrzenia, pomimo wielkiego namaszczenia do modlitwy, jakie afektowały. Zauważyłem przecież, że świeże wdzięki panien Wydzierkowskich nie tyle robiły wrażenia na Zefirku, co dystynkcya panny Olimpii.

Po skończonem nabożeństwie, Zefirek wytłoczył się najpierwszy z kościoła, ażeby przejrzeć się pannom zbliska i zabrać znajomość. Niefortunnym wszakże trafem, nie miał go kto zaprezentować, mając bowiem wraz z Anastazym interes do proboszcza, poszliśmy do zakrystyi, chcąc się z nim rozmówić, gdy się rozbierze po mszy. Wyszedłszy z kościoła, zastaliśmy Zefirka melancholicznie spoglądającego za odjeżdżającemi powozami.

— Cóż dzisiaj robisz z sobą? — rzekł do mnie Anastazy.

— Sam nie wiem jeszcze — odpowiedziałem, spoglądając z pod oka na Zefirka, zapewne będę w domu...

— Jedź do Góronowskich na herbatę, ja tam będę także...

Zefirek się przysunął słysząc tę rozmowę.

— Nie zawadziłoby — rzekłem, nie byłem tam od czterech tygodni. Ale nie mogę sam decydować, mam gościa. Zefirku, nie pojechałbyś ze mną do Kozłowej Woli?

— Do państwa Górónowskich?.. z gustem! rzekł z pośpiechem, jestem gotów. Zabawimy się... co? dodał, zwracając się do Anastazego.

— Nie wątpię — odrzekł tenże, przypatrując się z komiczną powagą pretensyonalnym ruchom Zefirka.

Stanęło więc na tem, że się wieczorem zobaczymy i rozjechaliśmy się, każdy w swoją stronę.

Przez całą drogę do domu, Zefirek nudził mię zapytaniami o dom państwa radcowstwa.

— To porządni jacyś ludzie, ci Góronowscy, słowo daję... co?

— Jak widziałeś.

— Mają *szyk*, prawda?

— Prawda!

— Jaka prawda!.. kareta nowa, konie, liberya... fiu, fiu!

Potwierdziłem mruknięciem.

— Panna... wcale tego... no!.. to jest... do krzyczącej piękności nie może mieć pretensyi...; ale *szyk* bije w oczy... słowo daję!...

I pogrążył się w dumaniach, które przerwało stuknięcie koła o kamień. To go zwróciło na ziemię.

— Muszą żyć porządnie; *szampetra* dają?

— Jak kiedy i dla kogo...

— No! mając w domu warszawiaka... rom to, rom to rrrom... *szampipi* wyjedzie, jakbym wiedział... Tra ti de di...

Zefirek wyśpiewywał sobie przez całą drogę. Widocznie snuły mu się wdzięczne obrazy, układające się w podwalinę różowej przyszłości. Wyobrażał sobie zapewne, jak zostawszy mężem panny Olimpii, będzie *dodawał szyku*.

— Tamci starzy, co to *dryndą* przyjechali, to widać *sałata*...

— Co to jest sałata? — zapytałem naiwnie, przyznając się do niezupełnej znajomości idiotyzmów Zefirka.

— *Sałaciarze* — rzekł w sposobie objaśnienia, nie mają za grosz *szyku!*.. on sam, widać *szlaga* ordynaryjny...

— Nic nie mówisz — odezwałem się po chwili, nakręcając rozmowę — o pannach Wydzierkowskich, które jakoś dosyć na ciebie spoglądały.

— A! te dwie rumiane — odrzekł obojętnie, e! to wcale co innego, zaraz znać... parafianki..-

— Nie podobały ci się?.. szkoda; dosyć majętne.

— Majętne?.. nie gadaj... No! ale tamta przecie... panna... jakże na imię pannie Góronowskiej?..

— Olimpia.

— *Szykowne* imię... słowo daję... aż miło! Spodziewam się tedy, że panna Olimpia jeszcze majętniejsza.

— Naturalnie, jedynaczka.

— A widzisz; niema porównania.

Po przybyciu do domu, przez cały czas do wyjazdu na ową wizytę, Zefirek zajęty był sobą. W największy kłopot wprawiły go wąsy, które zapuścił od chwili wyjazdu z Warszawy, a które wyglądały obecnie pod nosem, jak plama nieokreślonego dobrze charakteru. Zgolić, czy nie zgolić? Rozwiązanie tego problematu było w tej chwili dla Zefirka kwestyą pierwszorzędną. Po głębokich tedy studyach we wszystkich zwierciadłach i lusterkach, zdecydował się nie golić, rezultatem bowiem studyów było dopatrzenie w fizyognomii pewnego wyrazu niewypowiedzianie obywatelskiego.

Ale niestety! wiadomo, że twórcy największych nawet pomysłów miewają swoje chwile zwątpienia; taką miał i Zefirek, wsiadając do powozu. Bez względu, że postanowienie jego było owocem głębokiej rozwagi i wszechstronnego a sumiennego rozpatrzenia się, nie był pewny w tej chwili, czy jego wąsy dobrze się wydadzą. Ta myśl popsuła mu humor na cały wieczór i sparaliżowała siłę moralną, tak niezbędną do zaprezentowania się z *szykiem* w salonie.

Ciąg dalszy nastąpi.

HENRYK HEINE.

PORTRET LITERACKI

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

Ciąg dalszy.

Bardzo ostra ocena trzeciej seryi «Obrazów» dowiodła Heine'mu, że nie wolno nikomu igrać z łaską pana, któremu na imię «opinia publiczna.» To, co wówczas Veit napisał w berlińskim «*Gesellschafter*» (w lutym 1830 r.), można jeszcze dziś bez zmiany powtórzyć: «okrom siebie — mówił recenzent «Obrazów» — nie widzi Heine nigdy nic; zajmuje się on zawsze tak troskliwie tylko swoją własną osobą, że nie umie już ani siebie, ani swego talentu podporządkować pod jakiś wyższy cel. Dla innych autorów jest indywidualność źródłem poezyi, dla niego zaś jedynie jego własna osobistość. Dlatego interesują jego utwory tylko o tyle, o ile jego osóbka zajmuje. Ale właśnie ta ciągła gra z sobą samym musiała wytworzyć w naturze tak bogato uposażonej a niestrzeżonej, rozprzężenie pojęć i rozdźwięk uczuć. Uniesiony wirem wielkomiejskiego zepsucia, utracił Heine swego serca niewinność, lecz nie mogąc jej zupełnie zniszczyć, skłania się to w jedną, to w drugą stronę... itd.»

Jest rzeczą potomnych wyznaczać właściwe miejsce pracom, które swego czasu przeceniono. Dla czytelników z r. 1826 i 1827 były «Obrazy» deszczem majowym, odświeżającym duszne powietrze «restauracyi» i konającego romantyzmu; dla nas zaś są one tylko tem, czem były w istocie, czyli wiązanką zręcznych felietonów, napisanych pod wrażeniem chwili. Znajdujemy w nich wszystkie zalety gawęd odcinkowych, mających zapanować niebawem w dziennikarstwie świata cywilizowanego, bo: łatwy, lekki, miejscami olśniewający styl, dowcip, subjektywizm, dar przeskakiwania z przedmiotu na przedmiot i umysł niestały, niezdolny do skupienia się na jednym motywie. Wszystkie te przymioty uwydatniły się najwięcej w «Ideach» (*Ideen, das Buch le Grand*), które można nazwać arcydziełem felietonowem.

W poźniejszych «Obrazach», mianowicie w szkicach, objętych trzecim tomem wydania zbiorowego (*Englische Fragmente*; *Shakespeare's Mädchen und Frauen*) czuć już zmęczenie fantazyi. Powracające ciągle, a zawsze te same dowcipki, przestają bawić, a nawet nużą. Tu owdzie tylko błyśnie świeży talent autora pierwszych «Obrazów», jak np. w charakterystyce Heleny z tragedyi Szekspira «Troilus i Cressida» (tom III, str. 202).

Do rodzaju zwykłych, choć z talentem napisanych felietonów dziennikarskich, trzeba także zaliczyć wszystko, co Heine pisał o malarstwie, muzyce i teatrze francuzkim (tom XI). Nie są to krytyki, lecz wrażenia chwytane na gorącym uczynku i podawane w formie przyjemnej. Felietonami są dalej «Listy z Berlina» (*Briefe aus Berlin*) pisane w r. 1822, i rozprawka „O Polsce» (*Ueber Polen* r. 1822), nie zawierająca nic ciekawego.

Heine nie umiał patrzeć na świat i ludzi. Pochwyciwszy kilka rysów zewnętrznych, rozprawiał zamaszyście o wszystkiem, zapominając zwykle natychmiast o właściwym przedmiocie. Rzecz sama nie wpływała nigdy na urobienie jego sądu, lecz on sam ustawiał każdą rzecz zawsze tak, jak się jemu podobało. Dlatego szukamy w jego «Obrazach z podróży» daremnie prawdziwych obrazów z podróży, w jego recenzyach malarskich i muzycznych nie widzimy właściwej oceny, a z rozprawek jak «O Polsce», dowiadujemy się tylko pewników dawno znanych.

Heine pracował zanadto subjektywnie, aby mógł cośkolwiek wiernie odtworzyć. «Gruntowności» niemieckiej niema w jego utworach ani odrobiny. Zbiorowe wydanie jego dzieł mogło się bardzo dobrze obyć nietylko bez poglądów malarskich, muzycznych i teatralnych, pisanych z Francji (tom XI, *Französische Zustände*), ale i bez ulotnych artykułów, traktujących *de omnibus rebus et quibusdam aliis*. Wszystkie te drobiazgi (tom XIII i XIV «*Vermischte Schriften*») nie mają już dziś prawie żadnej wartości. I z «Obrazów z podróży» możnaby bez zaszkodzenia sławie ich autora, usunąć «Kąpiele w Lucca» i «Fragmenty angielskie» (część tomu II. i III). Do charakterystyki nietylko owego czasu, lecz i pierwszej epoki w rozwoju twórczości Heine'go, wystarczają jak najzupełniej trzy prace, umieszczone w tomie I. (*Harzreise*, *Norderney* i *Ideen, das Buch le Grand*).

Rzecz dziwna! Heine przywięzywał właśnie do najgorszych «Obrazów» największą wartość. Uwidziało mu się bowiem, że jest wielkim politykiem, trybunem ludu, powołanym do zreformowania porządku na kuli ziemskiej. Prześladowanie pism jego ze strony rządu i niezwykle szybki rozgłos, który zawdzięczał jedynie swemu talentowi artystycznemu i bezwiednemu zdarciu maski z obłudy swego czasu, przewróciły młodzieńcowi w głowie. Po wyjściu drugiej części obrazków, pisze Heine do Mosera: «książką tą zdobyłem sobie niesłychaną liczbę zwolenników i wielką popularność w Niemczech. Gdy wyzdrowieję, mogę teraz wiele czynić; głos mój rozlega się już bardzo szeroko. Usłyszysz go jeszcze nieraz, grzmiącego przeciw siepaczom myśli i ciemięzcom najświętszych praw. Uzyskam nadzwyczajną ze wszech miar profesurę w uniwersytecie szczytnych umysłów». Z taką samą pewnością mówi o sobie w trzeciej części obrazów»: «ale miecz musicie położyć na mej trumnie, gdyż byłem walecznym żołnierzem w wojnie o niepodległość ludzkości». Mimo tych młodzieńczych przechwałek, odegrał jako redaktor polityczny w Monachium bardzo mizerną rolę, a w Paryżu nie odznaczał się wcale odwagą osobistą, bo wynosił się cichaczem z sal zebrań publicznych, gdy mu ktoś szepnął, że policya nadchodzi. Inni chwytali za pistolety, a «trybun» uciekał czemprędzej.

Lecz Heine'mu zdawało się, że jest mężem politycznym i dlatego to lubił swe najmniej udolne «Obrazy», w których napiorunował się tyle przeciw: «popom, arystokratom, religiom i wszelakiemu obskurantyzmowi.» Polityka była przez całe życie jego słabą stroną, jego kochanką, do której wracał ciągle, choć nie miał w sobie ani jednego warunku, potrzebnego do wytworzenia wpływowego publicysty.

Publicysta musi w swe teorye wierzyć gorąco, namiętnie, musi ich bronić, choćby przyszło życie na ołtarzu ich złożyć. A Heine nie wiedział właśnie nigdy, do jakiego stronictwa należy. Dziś podobała mu się monarchia, jutro rzeczpospolita, pojutrze Saint-Simonizm itd.

Publicysta musi wyznawać stałe przekonania osobiste, a Heine, wychowaniec romantyzmu, zwiastun nowych czasów, stojący na przełomie dwóch epok, wahał się, przechylając się to tu, to tam, ulęgając wrażeniom chwili, lub nawet kaprysowi.

Publicysta musi być umysłem dodatnim, jednolitym, czyniącym i piszącym wyniklwie, a Heine umiał tylko przeczyć, wyśmiewać, szydzić, krytykować, i przeskakiwać z przedmiotu na przedmiot, jak motyl z kwiatu na kwiat.

Heine nie miał w sobie materyału na publicystę, na trybuna, a nawet na dowódzcę kierunku literackiego. Jego niemoc «polityczna« uwydatniła się najpochwytniej w korespondencyach, które pisywał z Paryża (w r. 1881 i 1832) do «*Augsburger Allgemeine Zeitung*» (*Französische Zustände, das Bürgerkönigthum im Jahr 1832*, tom VIII)

Przerzucając kartki, mające być obrazem ruchu politycznego Francyi po r. 1831, rozumiemy dopiero trafność sądu Veit'a: «prace Heinego interesują o tyle, o ile jego osoba zajmuje.» W korespondencyach z Paryża silił się Heine na spokój, na ton przedmiotowy, aby nie dać ówczesnej cenzurze niemieckiej powodu do niepotrzebnego kreślenia całych ustępów. Lekki, czasami olśniewający gawędziarz, znakomity w pracach dawniejszych felietonista, zamienia się natychmiast na nudnego, suchego gadułę, gdy przestaje dowcipkować i bawić własną osobą. Korespondencye z Paryża czyta się tylko dlatego, aby się dowiedzieć, co w nich stoi, lęcz bez przyjemności i ciekawości. Gęsto porozrzucane plotki, szczegóły i szczegółki nie okraszają wcale czczej, nużącej całości. Od czasu do czasu zatrzymuje się uwaga dłużej na jaki dobrym, trzeźwym poglądzie, po zbadaniu jednak ostatniej stronnicy zamyka się książkę bez pragnienia powrotu do jej treści.

Daremnie szukałoby się w korespondencyach paryzkich Heine'go, jego przekonań osobistych. Wprawdzie rzuca się on i miota ciągle przeciw różnym «obskurantyzmom»; wprawdzie zapala się miejscami do rewolucyi, do demokracyi itd., lecz w następnym liście pisze znów, że «jest rojalistą z urodzenia, a w Francyi został nim z przekonania» (tom VIII, str. 67) a gdy mu kaprys przyjdzie, unosi się nawet nad «świętością despotyzmu.» To wielbi rzeczpospolitą, to prawi cynicznie, że nie czuje w sobie dość siły, aby być republikaninem; woła głośno, że jest liberałem, a wyśmiewa burżoazyą, przyznaje się do sztandaru postępowego, a szydzi z Bornego i z «brudnych, nieumytych demokratów, palących tytoń.»

Jedno tylko pragnienie wraca konsekwentnie w wszystkich felietonach i korespondencyach Heine'go. Jest niem chęć zburzenia istniejącego porządku, czyli bezwzględna negacya. Lecz to bezwiedne parcie, wyzierające nawet z zachwytów «liberalnych,» nie jest wcale owocem długoletnich studyów i porównań różnych form rządu. Przyszło ono po prostu z Heine'm na świat, drzemało w jego krwi już w łonie matki. W jednym z listów do Varnhagena, w którym tłomaczy swój wyjazd do Paryża, pisze Heine: «już w kołysce mojej spoczywała marszruta na całe życie». Tą marszrutą było jego pochodzenie żydowskie, i nienawiść do cywilizacyi chrześciańskiej, z którą się każdy izraelita owego czasu rodził. Dlatego to ujada do śmierci przeciw szlachcie i księżom, przeciw feodalizmowi i kościołowi, dlatego żąda zniesienia wszelkich różnic: narodowych, religijnych i stanowych. Czuje on bardzo dobrze, jak każdy żyd z epoki praw wyjątkowych, że synowie «ludu wybranego» dojdą tylko po trupie tradycyj chrześciańskich do stanowiska szanowanego i wybitnego. Wierzymy mu też na słowo, gdy zapewnia, że przeprowadzał w swych korespondencyach z Francyi bardzo konsekwentnie tendencyą... kosmopolityczno-demokratyczną. Lecz czemże mogła mogła być taka tendencya w czasach, w których pracowano dopiero nad wytworzeniem patryotyzmu? Naród niemiecki zrozumiał też bardzo rychło właśnie ową tendencyą Heine'go, i odmówił mu jedynie dlatego tytułu trybuna, którego się on tak narczywie domagał.

Bo i w swych korespondencyach z Paryża, przemawia Heine z trójnoga, ilekroć się do Niemców odzywa, jak gdyby plemię, mieszkające z drugiej strony Renu, było gromadą owiec, spoglądających z trwożnem posłuszeństwem na nieomylnego dla nich pasterza. I dziwił się, że go to «głupie bydło» nie chce słuchać.

Kiedyś, w chwili natchnienia ocenił Heine bardzo trafnie upodobania wielkich nas: «Ale tłum, lud, nie lubi szyderstwa. Posiada on naturę poważną, jak geniusz i miłość, jak las i morze. Odwraca się on od złośliwego dowcipu salonowego, tłomacząc sobie wszelkie potężne zjawiska głęboko, mistycznie» (tom XI. str. 287). W tych nawskroś prawdziwych słowach umieścił Heine wyrok na siebe samego. Zrazu czytali go tylko zblazowani salonowcy, umysłowi obłudnicy, a tym podobał się «złośliwy dowcip.» Lecz gdy «niezadowolenie» ogarnęło szersze koła, gdy cichy szmer urósł w powszechną, wielką wrzawę, wtedy straciły rakiety artystyczne autora «Obrazów» bardzo wiele swej wartości.

«Lud, poważny, jak las i morze» zapragnął mowy gromkiej, męzkiej, nie zadawalniając się już błyskotliwą, efektowną szermierką lekkiego felietonisty. Silniej, namiętniej przemawiał teraz Ludwik Börne i agitatorzy południowo-niemieccy, burzliwiej i głośniej wołali późniejsi twórcy nowego kierunku literackiego: Laube i Gutzkow. Oni też zepchnęli niedawnego jeszcze ulubieńca Niemców na drugi plan.

A Heine nie rozumiał konieczności tego zwrotu, nie chciał, raczej nie mógł zrozumieć, że bezwzględna negacya jest dobra na pewien czas, jako rozczyn, jako pierwiastek, potrzebny do usunięcia zużytych, zwietrzałych pojęć przeszłości. Jemu zdawało się, że się przeczenie nie starzeje.

Więc przeczył ciągle i gniewał się, że go już ludzie nie słuchają, nie uwielbiają. Nietylko, że go nie podziwiali, lecz zaczęli go nawet bardzo nieprzychylnie krytykować. Od roku 1835 począwszy, pojawiły się w różnych pismach niemieckich recenzye ostre, zarzucające Heine'mu właśnie ową negacyą, której zawdzięczał swą rychłą sławę. I Arnold Ruge, słynny krytyk owego czasu, przyłączył się do wyprawy przeciw Heine'mu (w «*Hallische Jahrbücher*»).

Pieszczony dotąd, ubóztwiany, psuty zewsząd i przez wszystkich autor «Księgi pieśni» zgrzytnął zębami i oddawał pięknem za nadobne. Niezmiernie wrażliwy na oceny ujemne, niesłychanie próżny jako pisarz, mający siebie za jedynego mistrza swego czasu, rozdrażniony nadto rosnącą ciągle niemocą nerwową i straszony zbliżającą się chorobą, stał się Heine zgryźliwym, niesprawiedliwym i nieopatrznym. Zamiast posłuchać, co mu życzliwi radzili, nadął się niepotrzebnie i wybuchał od czasu do czasu przeciw swym współzawodnikom i nieprzyjaciołom. Jak niegdyś na Platen'a, rzucał się teraz na: Schlegel'ów, na Raupach'a, na Gutzkow'a, a w końcu zemścił się na Ludwiku Börne'm.

I to za co? Oto za to, że Börne określił bardzo dobrze jego działalność publicystyczną. «Heine jest artystą,—pisał Börne

— poetą. Ponieważ pragnie być czasami jeszcze czemś więcej, aniżeli poetą, przeto potyka się dość często... Jak można wierzyć człowiekowi, który sam w nic nie wierzy?.. Schlebiając demokratom, prawi Heine: stronnictwo jezuicko-arystokratyczne w Niemczech oczernia mnie i prześladuje dlatego, że stawiam absolutyzmowi śmiałe czoło. Chcąc się zaś arystokratom przypodobać, woła: stawiałem czoło jakobinizmowi, jestem dobrym rojalistą i pozostanę na wieki monarchistą» itd.

Za garść słów krytycznych, odpowiedział Heine w r. 1840 całą książką (tom XII; *Ludwig Börne, eine Denkschrift*), przepełnioną obelgami, miotanemi przeciw zmarłemu towarzyszowi. Jak niegdyś Platen'owi, zarzucał i Börne'mu... niemoralne życie, on, który używał jak sybaryta z czasów upadającego Rzymu, lubieżnik, niewolnik zmysłowej miłości, czujący w sobie już pierwsze zwiastuny zemsty doczesnej. Miał on niebawem uledz skutkom nadmiernego wyuzdania, a lżył człowieka, który był czystym w życiu, jak nie wielu, i hartownym charakterem, jak trybunowie Romy. A uczynił to dopiero... po śmierci swego przeciwnika.

Ale i tym razem wrócił pocisk na niego samego. Książka o Börne'm dobiła Heine'go w opinii publicznej Niemiec. Odwrócono się od niego na czas dłuższy ze wstrętem. Autor «Księgi pieśni» przestał być pieszczochem Germanii.

Że sąd Börne'go o działalności politycznej Heine'go był zupełnie uprawniony, dowodzi sama książka, wymierzona przeciw nieboszczykowi. «Trzeba w prawdziwych rewolucyach widzieć lud własnemi oczami, i własnym wąchać nosem; trzeba słyszeć na własne uszy, jak się ten królik wyraża, aby zrozumieć słowa Mirabeau'a: rewolucyi nie robi się z lawendą. Z opisami rewolucyi w książkach, wyglądającemi tam bardzo ładnie, ma się rzecz tak samo, jak z krajobrazami, wabiącemi na białym papierze welinowym. Później jednakże, gdy się tym samym widokom przypatrzymy *in natura*, zyskują one może na wspaniałości, lecz tracą w szczegółach, odrapanych i brudnych. Na miedzi wyryte gnojówki nie cuchną, na miedzi wyryte bagno można oczami bardzo wygodnie przebrodzić» (tom XII. str. 137).

Trudno odmówić tym spostrzeżeniom prawdy, lecz czy powinien się był w ten sposób wyrażać człowiek, domagający się tytułu trybuna ludu? W książce o Börne'm pastwi się Heine także nad wychodźcami polskimi, a Jana Sobieskiego nazywa... «rycerskim głupcem» (*der ritterliche Dummkopf*, tom XII, str. 145).

Heine, żyjący tylko przeczeniem, i poświęcający zawsze dla formy, treść, prawdę, nie urodził się na publicystę. Pierwsze jego próby w tym kierunku miały wartość rozczynu, lecz gdy inne nastały czasy, gdy negacyą zastąpiono afirmacyą, powinien się był wycofać z wirów polityczno-społecznych, i żyć tylko dla poezyi. Skorzystałby na tem i on sam i literatura niemiecka.

Płodami poronionemi należy nazwać przedewszystkiem drugą seryą jego korespondencyi z Paryża, pisanych po roku 1840, a pomieszczonych w IX. i X. tomie wydania zbiorowego.

VII.

Henryk Heine jako liryk.

„Poezye". — „Intermezzo liryczne" — Powrót" — „Księga pieśni"— Osłabienie talentu lirycznego. — Upadek. — Cynizm.

«Z skromnością w sercu i o pobłażliwość prosząc, oddaję publiczności «Księgę pieśni.» Może moje pisma: polityczne, teologiczne i filozoficzne pogodzą czytelnika z nieudolnością moich poezyj.»

Słowa te wsunął Heine do przedmowy, poprzedzającej drugie wydanie «Księgi pieśni» (tom XV. str. 8). A przecież, gdyby nie owa wzgardzona przez autora garść liryki, dla której uważał za potrzebne odwołać się do pobłażliwości czytających, któż mówiłby dziś jeszcze o Henryku Heine'm?

Wydrukował on już na wiosnę r. 1821 kilka fantazyj w berlińskim «*Gesellschafter*», a zimą tego samego roku z datą następnego (r. 1822) wydał pierwszą wiązankę poetycką p. t.: «*Gedichte*».

Garść sennych widziadeł (*Traumbilder*), kilka piosenek (*Lieder*), kilkanaście ballad (*Romanzen*) i sonetów (*Sonette*)! Oto wszystko! Treść nie obfita, owszem, bardzo uboga, a nawet nie oryginalna, bo zapożyczona od romantyków, lecz — jaka forma!

Romantycy, nie lubiący gładkich wierszy Goethe'go, szukali w skarbnicy poezyi ludowej zwrotek pieściwszych, dźwięczniejszych. Achim von Arnim i Klemens Brentano (*Des Knaben Wunderhorn*) naśladowali też rzeczywiście dość szczęśliwie nieznanych pieśniarzy dalekiej przeszłości, lecz mimo wielkiego artyzmu, czuć było w ich pieśniach «robotę».»

Wtem odzywa się muza Heine'go i zniewala odrazu wszystkich do głośnego oklasku. O czem marzyli romantycy, do czego dążyli daremnie nieprzyjaciele klasycyzmu, tego dokonał młody, nieznany dotąd poeta. „On to rozwiązał zagadkę, która męczyła wierszopisów od lat dwudziestu; on połączył tak dokładnie kapryśną formę z fantastyczną treścią, że przestała być dziwaczną, a zdawała się zupełnie naturalną. I w jego poezyach olśniewał i odurzał cały aparat romantyczny: smutki, westchnienia, rzewne skargi, kwiaty, wonie, widziadła, sny, świetne dekoracye, szczęk i brzęk oręża itd.

Das ist der alte Märchenwald!
Es duftet die Lindenblüthe!
Der wunderbare Mondenglanz
Bezaubert mein Gemüthe.

Ich ging fürbass, und wie ich ging,
Erklang es in der Höhe,
Das ist die Nachtigall, sie singt,
Von Lieb und Liebeswehe itd.

(Przedmowa do wyd. II. tom XV. str. 12).

I Heine był w pierwiosnkach swej muzy na wskroś romantykiem; lecz jakże inaczej wyglądały jego prawdziwe, potężne miejscami skargi od mdłych lamentów epigonów «oświecenia!» Rozpacz jego tryskała żywym, srebrzystym potokiem z serca rzeczywiście zbolałego, a marzenie jego szeptało pieściwie niby szmer listków, muśniętych lekkim powiewem pogodnej nocy. Te wiersze wypłynęły, zdaje się, z młodej, cierpiącej piersi na cichych skrzydłach westchnienia. Nie czuć w nich «roboty», pracy, ślęczenia; nie widać na nich potu sztukmistrza. Dość często możnaby nawet Heine'mu zarzucić rozmyślne zaniedbanie formy, jakoby lekkomyślną igraszkę z własnym talentem. Odnosi się to mianowicie do kilku ballad (np. *Don Ramiro*) i do fantazyj (*Traumbilder*). Lecz «Sonety» dowodzą, że młody poeta znał się na sztuce poprawnego wierszowania, jak niewielu przed nim i po nim.

Znakomite sonety pisali klasycy, groźne, potężne fantazye tworzyli romantycy, ale żaden z poprzedników Heine'go nie «śpiewał» tak wdzięcznie, jak on. Malutka, drobna piosenka, składająca się bardzo często zwykle tylko z dwóch zwrotek, jest najulubieńszym pieszczochem autora «Księgi pieśni». Mnóstwo tych pereł rozrzucił Heine w swej drugiej wiązance poetyckiej, w «Intermezzo lirycznem» (*Lyrisches Intermezzo*), wydanej w roku 1823 razem z «Tragedyami».

Meine Qual und meine Klagen
Hab ich in dies Buch gegossen,
Und wenn du es aufgeschlagen,
Hat sich dir mein Herz erschlossen.

(Motto do „Intermezza").

«Męczarnie moje i skargi moje przelałem w tę książkę, więc gdy ją otworzysz, rozkryją się przed tobą mego serca tajniki.»

Była to męczarnia stara jak świat, a mimo to zawsze nowa; były to skargi odwieczne, a jednak zawsze rozdzierające. Młody poeta kochał, lecz bez wzajemności; przeto płacze, zawodzi, pragnie śmierci, spokoju, zapomnienia.

Zrazu łudzi się, że go ulubiona jeszcze pokocha, że serce jej zwróci się do niego i dlatego opiewa swą miłość:

Aus meinen Thränen spriessen,
Viel' blühende Blumen hervor,
Und meine Seufzer werden,
Ein Nachtigallen-chor.

Łzy me wzrastają kwiatami,
Wonnemi wiosny słodyczą.
Westchnienia serca przechodzą,
W natchnień melodyę słowiczą

Und wenn du mich lieb hast, Kindchen,
Schenk ich dir die Blumen all'
Und vor deinem Fenster soll klingen
Das Lied der Nachtigal.

Kochaj mię—dziewczę! Ja kwiatków
Mych zniosę ci pełne koszyki,
Pod twe okienko się zlecą,
Z całego świata słowiki.

(tom XV. str. 91).

Dein Angesicht, so lieb und schoen,
Das hab ich jüngst im Traum gesehen,
Es ist so mild und engelgleich,
Und doch so bleich; so schmerzen bleich.

Znam twój obraz w snu urokach
Z licem tęsknem, bladem, chorem,
Jak gwiazdeczka na obłokach
Zabłąkana meteorem.

Und nur die Lippen, die sind roth;
Bald aber küsst sie bleich der Tod.
Erloeschen wird das Himmelslicht,
Das aus den frommen Augen bricht.

Ust twych żary tylko płoną —
Nim je pyłu śmierć omroczy..:
I zakryje ziemią czarną,
Takie jasne, duże oczy.

tom XV. str. 92).

Albo:

Ich will meine Seele tauchen
In den Kelch der Lilie hinein;
Die Lilie soll klingend hauchen
Ein Lied von der Liebsten mein.

Chcę zawrzeć wszystkie me żądze,
W kielich lilii świetlanej;
A pieśnią rozbrzmi lilia,
O mej gołąbce kochanej —

Das Lied soll schauern und leben
Wie der Kuss von ihrem Mund,
Den sie mir einst gegeben
In wunderbar süsser Stund.

Pieśnią natchnioną, płonącą —
Jak pocałunek namiętny —
Który mi dziewczę, ściskając,
Dało w ów wieczór pamiętny.

(tom XV. str. 93).

Albo:

Es stehen unbeweglich
Die Sterne in der Hoh'
Viel tausend Jahr', und schauen
Sich an mit Liebesweh.

Nieruchome drżą od wieków,
Każdej nocy gwiazdki w niebie
Zakochane, tęskne, rzewne,
Zapatrzone zdala w siebie.

Sie sprechen eine Sprache,
Die ist so rein, so schoen;
Doch keiner der Philologen
Kann diese Sprache verstehn.

Rozmawiają one mową,
Którą Bóg ich sercom nadał. —
Której żaden z filologów,
Dotąd jeszcze słów nie zbadał.

Ich aber hab sie gelernet,
Und ich vergesse sie nicht;
Mir diente als Gramatik
Der Herzallerliebsten Gesicht.

Lecz tej mowy tajemnice,
W lot mej duszy myśl odgadła! —
Wdzięk dziewczęcia mnie nauczył,
Drżących gwiazdek abecadła.

(tom XV. str. 93).

Albo:

Auf Fligeln des Geganges,
Herzliebchen trag ich dich fort,
Fort nach den Fluren des Ganges,
Dort weiss ich den schoensten Ort.

Za morza dalekie — za lądy—za światy...
Pieśń ma cię skrzydły swych natchnień uniesie —
Gdzie gaje palm wonnych, gdzie niebios szkarłaty,
Na falach drżą ciche w przeźroczym Gangiesie.

Dort liegt ein rothblühender Garten
Im stillen Mondenschein;
Die Lotusblumen erwarten
Ihr trautes Schwesterlein.

Tam róży kwiat cudny jesienią nie spada...
Nad gajem jak bóztwo blask czuwa miesiąca —
I lilią jak łabędź — wyniosa i blada,
Łzy roni — swej siostry rodzonej tęskniąca.

Die Veilchen kichern umd kosen
Und schaun nach den Sternen empor;
Heimlich erzählen die Rosen
Sich duftende Märchen ins Ohr.

Tam fiołków gromada, w dziecinnej swawoli,
Szept wiodąc z wietrzykiem, miłośnie ulata...
I kielich jaśminu i kwiat centofolii,
Ust tchnieniem gorących łodygę oplata..

Es hüpfen herbei und lauschen
Die frommen, klugen Gazellen;
Und in der Ferne rauschen
Des heiligen Stromes Welln.

W głąb puszczy gazella wybiega ostrożnie,
Wdziękami gazelli — kochanki ujęta —
Tam — kędy w otchłaniach, natchniona pobożnie,
Śród hymnów wieczyście szumi rzeka święta.

Dort wollen wir niedersinken
Unter dem Palmenbaum,
Und Lieb' und Ruhe trinken
Und träumen seligen Traum.

O luba!—tam pójdziem!.. w krainy tej błogiej —
Pielgrzymi ze świata—mieszkańce dziś leśni —
Odpocząć w uścisku i usnąć bez trwogi —
Nie widząc — prócz ptastwa, nie słysząc—prócz pieśni.

(tom XV. str. 94).

Przekonawszy się jednak, że spodziewa się daremnie, załamuje ręce i skarży się:

Und wüssten's die Blumen die kleinen,
Wie tief verwundet mein Herz,
Sie würden mit mir weinen,
Zu heilen meinen Schmerz.

Gdyby kwiateczki wiedziały,
Duszy mej boleść tajemną —
Pewnoby we łzach co rana,
Płakały rzewnie nademną.

Und wüssten's die Nachtigallen,
Wie ich so traurig und krank,
Sie liessen froelich erschallen
Erquickenden Gesang.

Gdyby słowiki wiedziały,
Jaką świat dla mnie jest męką—
Pewnoby z lasów zleciały,
By mnie ukoić piosenką.

Und wüssten sie mein Wehe,
Die goldenen Sternelein,
Sie kämen aus ihrer Hoehe,
Und sprächen Trost mir ein.

Gdyby gwiazdeczki wiedziały,
O mych zgryzotach codziennych—
Pewnoby zeszły — nie szczędząc
Pociechy w blaskach promiennych.

Die alle koennen's nicht wissen,
Nur eine kennt meinen Schmerz;
Sie hat ja selbst zerrissen,
Zerrissen mir das Herz.
(tom XV. str. 100).

Lecz nikt o smutku mym nie wie—
Wie tylko ona o wszystkiem —
Ona—co z sercem mem codzień—
Z sercem igrała, jak z listkiem.

Całą beznadziejnosć swej miłości, spowodowaną stanowczą rozłąką, wyraził Heine w prześlicznej piosence:

Ein Fichtenbaum steht einsam
Im Norden auf kahler Hoeh?
Ihn schläfert; mit weisser Decke
Umhüllen ihn Eis und Schnee.

Er träumt von einer Palme,
Die fern im Morgenland,
Einsam und schweigend trauert
Auf brennender Felsenwald.
(tom XV. str. 105).

Na gór północnych wyżynie,
Stoi dąbek zadumany;
Szumiący w wichrach samotnie,
Całunem śniegów owiany.

Stęskniony marzy o palmie
W dalekiej wschodniej krainie—
Sierocej, niemej — rzuconej
W spaloną słońcem pustynię.

W drugiej połowie «Intermezza lirycznego», zamienia się cichy żal na wielką rozpacz:

Vergiftet sind meine Lieder —
Wie koennt'es anders sein?

Du hast mir ja Gift gegossen
In's blühende Leben hinein.

Vergiftet sind meine Lieder —
Wie koennt'es anders sein?

Ich trage im Herzen viel Schlangen
Und dich, Geliebte mein,
(tom XV. str. 115).

Każda piosnka ma zatruta,
Gorycz wiecznych wspomnień [kryje —

Tyś ust tchnieniem swem, zatruła
Pierwszych uczuć mych lilie.

Każda piosnka ma zatruta,
Gorycz wiecznych wspomnień [kryje.

Rączką pieszczot atłasową,
Tyś w me serce wkładła żmiję.

W końcu żegna się z marzeniami swej młodości:

Es ist so still und dunkel!
Verweht ist Blatt und Blüth'
Der Stern ist knisternd zerstoben,
Verklungen das Schwanenlied.
(tom XV. str. 120).

Wszystko ścichło, pociemniało...
Zwiędły listki drzew;
Gwiazdka znikła w chmur otchłani,
Zgasł łabędzi śpiew.

A gdy «łabędzi śpiew zgasł», wtedy nie pragnie już zawiedziony w swych nadziejach kochanek niczego, okrom «odwiecznej ciszy nocnej», okrom śmierci.

Mir erloschen ist der süssen
Liebesterne goldene Pracht,
Abgrund gähnt zu meinen Füssen—
Nimmt mich auf, uralte Nach!t
(tom XV. str. 121).

Z duszy mej pierzchły szczęścia [nadzieje,
Złotej gwiazdeczki zgasł promyk [w niebie,
U nóg mych przepaść otchłanią [zieje...
Wieczysta nocy! — przyjm mnie [do siebie.

Każda z tych piosenek jest skończonem arcydziełem. O takich zwrotkach śnili romantycy w chwilach najgorętszej tęsknoty za ideałem lirycznym, lecz tylko jedyny Heine śpiewał, jak gdyby słowo było oddechem, a myśl cichem skrzydłem ptaka nocnego. Zdaje się, że te wiersze nie sprawiły swemu twórcy żadnego trudu, a jednak pracował autor «Księgi pieśni», jak poświadcza jego biograf (Strodt. tom I. str. 508) bardzo starannie, a czasami nawet mozolnie.

Zaprawdę! W pieśniach tych odżył «starodawny las baśni» i «odurzała woń kwiatów lipowych,» a «cudowny księżyc» rzucał swe drżące, srebrzyste cienie na «uciszone fale rozmarzonego jeziora.» W zwrotkach tych skarżył się i kwilił, szlochał i jęczał prawdziwy słowik, śpiewający o miłości i jej niedoli, o róży i jej cierniach. Od czasu do czasu zaklęła potężna rozpacz, miotająca się na nędze tej ziemi. Tylko prawdziwy poeta mógł tak pieściwie i tak groźnie przemawiać.

Takim samym mistrzem jest Heine w swej trzeciej wiązance poetyckiej, pochodzącej z lat: 1823 i 1824 (*Die Heimkehr*).

Ich weiss nicht, was soll es bedeuten,
Dass ich so traurig bin;
Ein Märchen aus alten Zeiten,
Das kommt mir nicht aus dem Sinn.

Die Luft ist kuehl und es dunkelt,
Und ruhig fliesst der Rhein;
Der Gipfel des Berges funkelt
Im Abendsonnenschein.

Die schöne Jungfrau sitzet
Dort oben wunderbar,
Ihr goldnes Geschmeide blitzet,
Sie kämmt ihr goldnes Haar.

Sie kämmt es mit goldenem Kamme,
Und singt ein Lied dabei;
Das hat eine wundersame,
Gewaltige Melodei.

Den Schiffer im kleinen Schiffe
Ergreifft es mit wildem Weh;
Er schaut nicht die Felsenriffe,
Er schaut nur hinauf in die Hoeh?

Ich glaube, die Wellen verschlingen
Am Ende Schiffer und Kahn;
Und das hat mit ihrem Singen,
Die Lorelei gethan.
(Heimkehr, tom XV. str. 129).

Wszyscy romantycy nie zdobyli się choćby na jednę tak pieściwą baladę, ktora prosi o muzykę. Pochwycili ją też natychmiast kompozytorowie, a dziś śpiewa ją w Niemczech każda dziewczyna, każdy młodzieniec. Niewysłowiony urok wieje z tego poematu, melodya słów upaja, rozmarza; zdaje się, że to pieśń utkana z cichego szmeru fal Renu, i z blasku miesiąca. Takich pieśni nie można przełożyć na inny język. Najlepszy tłomacz nie odda w obcem narzeczu melodyjności powyższych zwrotek.

Zkąd ta tęsknota we mnie serdeczna,
Z świtu do nocy, z nocy do ranku?
Ach?.. bo mi bajka jakaś odwieczna,
Prastara — w myśli tkwi bezustanku.

Cicho w powietrzu, zmierzchły błękity,
Drzemiąc Ren szumi doliną w kwiatach;
Brzegami słońca gór modrych szczyty
Ostatnie blaski gorą w szkarłatach.

Na szczycie góry, w wieczór i zrana,
Jak objawienie — dziewczę urocze

Siedzi w złotogłów cała przybrana,
Złotem iskrzące czesze warkocze.

Złote warkocze złotym grzebieniem,
Czesze, i pieśni przechodów stopnie
Rozwodzi skargą, śmiechem, westchnieniem —
Brzmiące czarownie i wraz okropnie!

Rybaka w łodzi pierś nagle rani
Żądz i rozpaczy smutek ponury;
Nie widzi groźnych skał i otchłani,
Wpatrzony w dziewczę na szczycie góry.

Biedne pacholę, uroków siłą,
Fale unoszą w głębin otchłanie,
A nad bezdenną, wyżyn mogiłą,
Brzmi ciągle czułe, straszne śpiewanie.

Trudno temu przekładowi (Mieleszki-Mieleszkiewicza) cośkolwiek zarzucić, a jednak — jak mu daleko do oryginału? W tłómaczeniu, choć bardzo dobrem, zginęła powiewność formy, owa lekkość rytmu i rymu, w której Heine przewyższył swoich mistrzów romantycznych.

Wiecznie przetrwa także kilka zwrotek, napisanych przez autora dla jego siostry (*Mein Kind wir waren Kinder* itd tom XV. str. 153) i «Pielgrzymka do Kevlaar» (*Die Wahlfahrt nach Kevlaar*, od str. 194—198). I opisy morza północnego (*Die Nordsee*; tom XV. od str. 219--259), pochodzące z lat: 1825—1826 pomogły wystawić dla swego twórcy *monumentum aere perennius*.

Wszystkie te fantazye, sonety, pieśni i ballady wydał Campe w r. 1827 pod wspólnym tytułem: «Księga pieśni» (*das Buch der Lieder*), nie przeczuwając, że te drobiazgi staną się główną podwaliną jego mienia, choć krytyka witała każdą nowość młodego poety nadzwyczaj życzliwie, nie skąpiąc mu wcale zasłużonych ze wszech miar pochwał.

Jako liryk był Heine w swoim żywiole. Pisarz *par excellence* subjektywny, mógł w tym kierunku pozostać wszędzie sobą i tylko sobą, bez narażenia się na zarzut: że nie umie przedmiotowo odtwarzać. Co mu szkodziło jako dramaturgowi i nowelliście, a nawet jako publicyście to nie raziło w pieśniach i piosenkach. Subjektywizm bowiem jest istotą liryki.

Rozumie się samo przez się, że nie można do wszystkich pieśni Heine'go tej samej przyłożyć miary; że wśród stosu prawdziwych pereł, musi się znajdować garść pośledniejszej wartości utworów, gdyż chyba niepodobieństwem wyśpiewać sto razy tę samą skargę, ten sam żal, to samo marzenie z równem zawsze mistrzowstwem i z równą siłą. «Kocham cię — kochałem cię — będę cię kochał — jesteś piękną — uroczą itd.» — zbyt drobny to motyw, aby mógł wystarczyć na kilkanaście lat życia i twórczości. A oprócz miłości nie znał prawie Heine innego uczucia. Tu i owdzie tylko uderza w «Romancach» w inne struny, choć i na dnie jego opowieści (jak w «Don Ramiro») spoczywa właściwie pamięć jego niedoli osobistej. Wyjątek w tym względzie stanowi owa apoteoza grenadyerów napoleońskich (*die Grenadiere*; tom XV. str. 54), odznaczająca się rzadkim u Heine'go przymiotem, bo... niezamyślonym zapałem.

Odczytując słowa:

Und der Kaiser, der Kaiser gefangen
A cesarz — cesarz w niewoli.

czujemy, że autor kochał całem sercem wielkiego imperatora, którego nauczył się uwielbiać w domu rodzicielskim w Dusseldorfie. Wiemy, że dochował tej «swojej słabości» wiary aż do śmierci, choć wszystkie swe inne zachwyty później wyśmia i zdeptał.

Ochłonąwszy po pierwszem wrażeniu, jakie wywołuje liryka Heine'go, nasuwa się pytanie: jakim mianowicie przymiotom zawdzięcza autor «Księgi pieśni« swą głośną sławę? Miłość opiewali inni w różnych formach i językach, a trubadurowie wieków średnich wyrażali się dość często nawet pieściwiej. Trwalsze pomniki wystawili tej namiętności: Szekspir, Petrarka, Goethe i Schiller, a i romantycy francuzcy znali się bardzo dobrze na mowie nietylko serca, lecz także krwi i nerwów.

Więc nie odwieczna, stara, po tysiąckroć wyzyskana treść wyrobiła Heine'mu tytuł pierwszorzędnego poety. Sprawiła to jedynie oryginalna forma.

Muzy ukochały autora «Księgi pieśni» jak niewielu w owym czasie. Bo dały mu nietylko umysł, wrażliwy na piękności przyrody, zdolność chwytania uroczych krajobrazów, lecz włożyły także w jego usta nowe rytmy, rymy i zwroty. To nie była dawna, miarowa, ilościowa metryka, lecz kapryśna, swawolna igraszka słów, wytwarzających mimo nieprawidłowego szyku dziwnie piękną, nieznaną dotąd melodyjność wiersza. Do tej śpiewności dążyli romantycy, ale dopiero uczeń ich wykonał, co się mistrzom nieu dawało. Wprawdzie spoczywały już zarodki rytmiczności heinowskiej w poezyi ludowej, lecz i romantycy mogli z tych samych korzystać wzorów.

Heine nie zapierał się wcale, że sięgnął do wzgardzonej przez «klasyków» skarbnicy pieśni ludowych. Z bogatej tej kopalni wydobył mnóstwo drogich kamieni, które opiłował i przyozdobił po swojemu. Żaden z jego poprzedników nie uderzył tak dobrze w ton zapomnianych śpiewaków, jak on w swych «Romancach.» Pieśniom tym braknie tylko treści narodowej, niemieckiej, aby rzeczywistie wywołały złudzenie.

Tu i owdzie przesadził nawet Heine, trzymając się zanadto wiernie wzorów ludowych. Posługuje się on zbyt często staroświeckiemi wyrażeniami, jak: *wunnesam* albo *wunnewolles Magedein*, albo *frumm* i *Summer* zamiast: *fromm* i *Sommer*. Kocha się tak samo, jak w prozie, w dziwacznem zastawieniu: przymiotników przysłówków i rzeczowników (*heimlich wunderbar, kalt durchgraut*, itd. skraca wyrazyzanadto śmiało, *Feu'r, Ungeheu'r, wie'n, lieb' Bruder, luft' gen, bedeut't* itd.), i opuszcza rozmyślnie w wierszach trochaicznych artykuł, ubiegając się o zwroty efektowne, niezwykłe.

Spaten, Spaten, scharf und breit,
Schaufle Grube tief und weit.

Albo:

Rinne, rinne Wasserlein,
Wasche mir das Linnen rein.

Albo:

Eisen blink, Eisen blank,
Zimmere hurtig Eisenschrank.

Takiej herezyi przeciw duchowi językа niemieckiego nie byłby się dopuścił żaden «klasyk», a jednak nie zaszkodziła Heine'mu nawet rozmyślna swawola, bo kogoż nie zachwyci melodyjność przytoczonych nieprawidłowości? Tylko prawdziwy mistrz mógł tak bezkarnie igrać z giętkością słowa germańskiego.

Wielkim mistrzem w kierunku lirycznym zostanie też Henryk Heine po wszystkte czasy mimo zrzędzeń pedantów, ktorzy nie mogą mu zapomnieć, że wolał się uczyć gramatyki i prozodyi z księgi natchnień własnego genjuszu, aniżeli z podręczników uczonych, suchych filologów. Inni tworzyli poprawniej, lecz śpiewniej, wdzięczniej nikt.

Heine nie przechwalał się wcale, gdy pisał o sobie w kwiecie młodości.

Ich bin ein deutscher Dichter,
Bekannt im deutschen Land;
Nennt man die besten Namen,
So wird auch der meine genannt.
(tom XV. str. 140).

Jestem niemcem—pieśnią wieszczą
Znany w całej Niemieczczyznie—
Kędy w liczbie najsławniejszych—
Me nazwisko — także mieszczą.

Ciąg dalszy nastąpi.

NIEZNANY WIERSZ STEFANA GARCZYŃSKIEGO *).

RANO, POŁUDNIE, WIECZÓR I NOC.

Kiedy ze snu zbudzony miękkie rzucę łoże,
Gdy okiem orzeźwionem witam piękne zorze,
I słońce, które całą naturę zasila —
Jakżeż wtenczas twój obraz duszy się przymila!

Kiedy słońce w dwie części niebios kulę zmierzy,
I czuję żar ognisty śród południa spieki —
Życie moje zmęczone u nóg twoich leży!..
Czuję w ogniu rzęsistym, że kocham na wieki!

Gdy widzę jak chmur orszak boskie słońce goni,
Jak wieczór zasępiony chłodzi świata duszę —
Jak kwiat do słońca wzdycha i smutku łzy roni —
Czuję, że kochać ciebie bez nadziei muszę...

Kiedy noc płaszcz swój czarny po niebie rozwodzi —
I księżyc blaskiem słońca ściemnionym przyświeca,
Hydrę pamiątek wtenczas w moim sercu rodzi...
A miłość łzy wylewa — głos rozpaczy wznieca!..

BAL MASKOWY.
Z DZIENNIKA MŁODEJ MĘŻATKI

przez

Ernesta Eckstein.

15 Stycznia.

Czyż mogę nazwać dziennikiem to co piszę dla ciebie droga Olesiu? Staram się wszelkiemi siłami, być szczerą jak penitent przy konfesyonale, lecz widzisz duszko — czuję mimo wszystkiego, że częstokroć wbrew przepisom pozuję teatralnie. Niejeden drobny wypadek przemilczałam, lub może mimowoli przedstawiłam inaczej.. Krotko mówiąc, otwarte, nieubrane wyznanie w dzienniku trudną jest rzeczą! Niegdyś w ów pyszny wieczór lipcowy na sasnickim moście wyobrażałyśmy sobie to wszystko o wiele lepiej! Pół roku odtąd upłynęło i dziś zaczynam czwarty zeszyt!

Strasznie dużo — nieprawdaż Olesiu moja?

Ale formalnie brakuje mi czegoś, gdy co kilka dni nie chwycę za pióro i tu w wytwornem półcieniu mego budoaru nie przeniosę na papier tego, co ty cara dolcissima w przyszłe lato masz studiować?

Może zresztą foliały te nie wydadzą ci się nudnemi. Twoim dziennikiem, który oczywiście sto razy będzie interesowniejszym, cieszę się naprzód niewypowiedzianie, choćby z powodu twego ślicznego arystokratycznego pisma. Moje jest tak pobieżne, pensyonarskie, jakkolwiek niestety! mam już rok dwudziesty drugi.

*) Niniejszy wiersz otrzymaliśmy od p. J. H. Rychtera, który przygotowuje obecnie dla jednego z pism warszawskich ciekawe studjum, na podstawie sporego zbiorku nieznanych pism St. Garczyńskiego. *Red.*

Ach! Olesiu! jak ta młodość prędko ubiega! W czerwcu już będzie dwa lata od mego zamążpójścia! Dwa lata! Strasznie jestem starą! Widzę w duchu, twój miły, roztropny uśmiech..... Masz słuszność. Życie nasze jest jeszcze w majowym blasku:.. a co dalej?

Dosyć omówień — i in medias res, jak zwykle wyrażał się nasz profesor historyi! Mam ci donieść jedno zdarzenie i to widzisz Olesiu! przykre, fatalne i nader bolesne. Zamiar tego doniesienia był pierwszym motorem do poważnego rozbioru szczerości mego dziennika. Dotąd, biorąc ściśle, zaznaczałam tylko bagatelki, bo zresztą nie wydarzyło się istotnie nic ważniejszego. Ale to co dziś mam obwieścić musi być wiernie, z najdrobniejszemi szczegółami z pominięciem własnej osoby, niemiłosiernie nawet, jednem słowem w stylu «Confessions» Rousseau'a zregestrowane.

Ciężki błąd man sobie do wyrzucenia, teraz już zań jestem okrutnie ukaraną,! ach któż wie, co przyszłość jeszcze przyniesie!

Dziś jest sobota; w przyszłą środę rozstrzygnie się czy twoja Alida na wieki ma być nieszczęśliwą, żegnając wszystko co było jej radością i szczęściem, lub czy też może on w ostatniej chwili upamięta się.

16 Stycznia popołudniu.

Rudolf wczoraj przerwał mi rozpoczęty frazes. Otworzył drzwi, pytając czy nie miałabym ochoty pójść na nową operetkę, którą od kilku dni zajmują się w mieście.

Bezwstydny!

A wyglądał przytem tak spokojnie, słodko, niewinnie, jak nowonarodzone dziecię.

Zatrzasłam tekę i wyjąkałam coś o migrenie.

—Ach! — zauważał — to przejdzie. Tu w twej ładniutkiej budzie (pomyśl tylko, mój budoar nazywa budą) z zagłuszającą wonią rezedy każdy rozsądny człowiek musi dostać bólu głowy. Świeże powietrze cię orzeźwi, zbierz się tylko kochanie!

Wszystko to powiedział tak spokojnie, tak naturalnie, jak gdyby nic nie zaszło, a przecie, wiem pewnie, że list otrzymał, przeczytał go i — ach! to okropne!

Nie gniewaj się Olesiu! Nim zrozumiesz mnie w połowie, wyczerpie się twoja cierpliwość. Zatem ab ovo! (Nie wiem dlaczego zwroty mowy profesora historyi ciągle przytaczam).

Przedwczoraj odwiedziła mnie pani Ilowska. Pamiętasz ją — w czasie mego wesela była sąsiadką twego ojca — okazała, roztropna kobieta, dochodząca trzydziestki, ale zawsze jeszcze jak panienka wyglądająca, młoda i niezwykle piękna, co muszą przyznać najzazdrośniejsi. Z powodu nadto pełnych kształtów najczęściej ubiera się czarno z karmazynowym lub złotym przystrojem. Gdy idzie przez ulicę, można liczyć na pewne, że z dwudziestu mężczyzn, ośmnastu oględnie się za nią z najwyższem zajęciem, jakże mam to powiedzieć?

No — rozumiesz mnie! Ma sposób obejścia bez odcienia kokieteryi robić się wpadającą w oczy. A co jest najważniejszem: pani Ilowska podoba się nietylko mężczyznom, lecz jeszcze więcej kobietom. Wszystkie jesteśmy jej uprzejmością, rozumem, taktem i zachowaniem się zachwycone, szczególnie my młodsze, które ona z pewną macierzyńską wyższością traktuje. Dwudziesto ośmio lub dziewięcio letnia mateczka! Jednem słowem, panowanie jej nad nami jest niezaprzeczone. Idzie o nową fryzurę, oczywiście najpierw radzi się pani Ilowskiej; układa się bal domowy, soiree z scenicznem przedstawieniem, bazar, pani Ilowska przedewszystkiem musi wyrzec tu zdanie. Co powie, święcie jest przyjętem. Ma najlepszy smak, najtrafniejszy sąd o rzeczach i tyle pomysłów ile dni w roku. Gdy ukaże się nowy romans i pani Ilowska uzna go godnym czytania, przez następne ośm tygodni, mówią o nim powszechnie. I tak dalej i dalej.

Zatem przedwczoraj królowa ta zjawiła się u mnie o wpół do pierwszej. Rudolf wyszedł właśnie do biura telegraficznego, ażeby ważną depeszę do Wiednia wyprawić; urzędnicy tak łatwo robią pomyłki. Usiadłyśmy w zacisznym kąciku i rozpoczęła się pogadanka, w której twoja Alida tylko «tak» lub «nie» a czasem «Czy możebne?» i tym podobnie wyrzekła, ponieważ pani Ilowska nam zwykłym śmiertelniczkom podczas pierwszych dwudziestu minut nigdy nie da przyjść do słowa.

W końcu rozmowa zeszła na mężczyzn.

— Oh! ci mężczyźni! — rzekła z westchnieniem — cóż za natury! Bezwzględni, próżni, samolubni, niewierni!

— A — rzuciłam się—w każdym razie są przecie pocieszające wyjątki!

— Tak? — czy znasz pani choć jeden?

— Hm myślałabym!.... Albo może chcesz pani coś memu Rudolfowi zarzucić?

Wstrząsła ramionami.

Pan Tyrów nie jest lepszym od innych.

— Ależ kochana baronowo!...

— Tak — tak — przerwała — pani masz wszelkie powody czuć się szczęśliwą! Pan Tyrów jest miły, towarzyski mężczyzna; posiada więcej rozumu niż większa część młodych ludzi w stolicy; jest uważającym małżonkiem, otwartym, pewnym przyjacielem; ale mon Dieu!

«W jednym punkcie mężczyzni są nadspodziewanie jednolici, rozsądni czy ograniczeni, nudni lub zabawni, młodzi czy starzy...

Roześmiała się. Śmiech ten wierzaj Olesiu! wszystką krew napędził mi do głowy, jakkolwiek w połowie tylko zrozumiałam, co chciała powiedzieć.

No ale niedługo zostawiła mnie w niepewności. Pomyśl tylko cara dolcissima (gdybym nie wiedziała, że jesteś zaręczoną, a zatem poniekąd wliczasz się już do naszego cechu, nie odważyłabym się pisać czegoś podobnego, gdyż to dla młodej dziewczyny nie przystoi właściwie) pomyśl, tylko twierdziła ona z zastraszającą pewnością, iż mimo wszelkich pozorów świętobliwości i uczciwości w całem wyższem towarzystwie, niema jednego mężczyzny, któryby był wiernym swej żonie! A jeżeli zdarzy się, to wyjątkowo, to *li tylko* z braku sposobności!

Tym razem obruszyłam się naprawdę. Przyzwyczajeni jesteśmy wprawdzie do jej paradoksów, ale coś podobnego, przechodzi już granice!

— Kochana baronowo — rzekłam nieco uszczypliwie — nie wiem jakie pani zrobiłaś doświadczenie w tym kierunku, ale mnie jej sceptyczna mądrość nie odbierze bynajmniej wiary w wierność mego małżonka. Jeżeli się ktoś, jak Rudolf i ja z najczystszej miłości pobierze...

«Na miłość boską! — przerwała — nie bądź pani tak patetyczną!

Ja nic nie twierdzę! przypuszczam tylko możliwość!.. Wreszcie: jak dawno jesteś pani zamężną? Półtora roku? No pour dire vrai to są jeszcze prawie miodowe miesiące! Do takich młodych małżonków pokusa zbliża się tylko wyjątkowo. Później to przychodzi. Lecz mnie się zdaje, gdzie brakuje pokusy, tam wierność nie jest zasługą.

— Oh! — odparłam z uczuciem pewności — na to mogłabym bez obawy zezwolić.

— Na pokuszenie?

— Tak jest baronowo.

— Zaufanie godne zazdrości.

— Pani mnie formalnie wyzywasz.

— Jako żywo! — ale gdybyś pani żądała, przyjęłabym każdy zakład.

— Nie zakładam się, ale wiem dokładnie.

— Aha! Składasz broń — śmiała się pani Ilowska. Jeżeli nie chcesz, bez wątpienia podobny zakład nie przyjdzie do skutku. Nie zakładamy się, gdy jesteśmy pewnymi przegranej.

Wyrzekła to w tonie takiej wyższości, iż uczułam się zakłopotaną.

Baronowa od dawna uchodzi za wyborną znawczynię ludzi. Wiedziałam, że żyła w świecie, że miała niezliczone stosunki..... Przeto było do darowania, przyznasz mi droga Olesiu, iż w duszy orzeczeniu tej dziwnej kobiety przypisałam pewną ważność... Nic łatwiej nie schodzi, jak ziarnko nieufnosci; gdzie tylko znajdzie ślad gruntu, zapuszcza korzenie.

Zatem — krótko mówiąc, przyszło do tego, że założyłam się z ba onową.

Ach! jakże żałowałam tej nierozwagi!

Jednak potem o tem! Przedewszystkiem powinnaś się dowiedzieć o co założyłyśmy się, inaczej uważałabyś w końcu swoją Alidę za gorszą, niedelikatniejszą niż jest w istocie.

Gdy przegram zakład, wtedy, z zemsty oczywiście, prześliczną branzoletę, którą Rudolf kupił mi na urodziny, dam na dobroczynny bazar hrabiny Bruckner; jest tak piękna i kosztowną, że bezwątpienia stanowić będzie piece de resistance całego zbioru, w którym przeważnie znajdują się same drobnostki.

W przeciwnym razie, gdyby Rudolf z proby wyszedł zwycięzko (o czem wówczas mimo niezwykłego rozdrażnienia nie wątpiłam) baronowa miała obowiązek na tutejszy «przytułek kobiet» pierwsze 300 marek zapłacić; następnie zaś musiała przeprosić mego męża za brzydkie o nim mniemanie i powiedzieć mu, iż była autorką całego zawikłania..... zawikłania mianowicie, które go «doświadczać» miało.

Warunki zostały ułożone. Teraz posłuchaj, co twoja Alida uczyniła.

Podczas gdy pani Ilowska patrzała na ulicę, którędy Rudolf miał powrócić, rozrumieniona usiadłam przed pięknem mahoniowem biureczkiem, wzięłam najmodniejszą ćwiartkę papieru, którą dniem przedtem u Crusiusza kupiłam, zatem której Rudolf nie znał i zmienionym charakterem napisałam co następuje:

«Gdy kobieta odważy się naturalne szranki obyczaju i wychowania śmiało przełamać i żonatemu mężczyźnie życzenie schadzki oświadczyć, jest dla niej jedno tylko uniewinnienie: siła nieposkromionej namiętności. Wszelako na krok podobny nigdy bym się nie zdecydowała, gdyby nie przeświadczenie, iż Rudolf Tyrrów w gruncie serca nie jest szczęśliwym... Dosyć... Nieznajoma, która sądzi, że pojmuje pana zupełnie, prosi o danie jej sposobności podczas balu maskowego w głównej sali do obopolnego wynurzenia. Po ukończeniu wielkiego pochodu masek, znajdziesz mnie pan na estradzie pomiędzy trzecim a czwartym słupem. Mieć będę szafirowe domino z jasno-niebieskiemi brzegami. Dla pewniejszego spotkania, upraszam pana wybrać podobną maskę, nadto na prawem ramieniu przypiąć kokardę z pąsowego atłasu. Wszystko z największą ostrożnością. Mimo to byłoby pożądanem, żeby żona pańska nie znajdowała się na balu, co łatwo pan osięgniesz, gdy zmyślisz dnia tego podróż nieodzowną. W tęsknem oczekiwaniu.

Viola.

Skończywszy podałam list baronowej.

— Po mistrzowsku! — wyrzekła ta dwa czy trzy razy. — Skądże pani nabrałaś tej niesłychanej rutyny? A potem, to pismo! Słowo daję, żaden rzeczoznawca sądowy nie poznałby, iż jesteś autorką tych leżących rezolutnie literek! Zwykle zmienione pisma wyglądają na to, że są zmienione. Tu jednak — filutka z ciebie kobiecino!

Nie bardzo ucieszyłam się tą, nieco studencką, aby nie rzec

lekceważącą pochwałą. W milczeniu odebrałam liścik od baronowej i zaadresowałam go.

— Ach! le voila! — zawołała instruktorka, gdy przeciągałam wałek bibulasty po papierze. Skończono w sam dobry czas. Podaj mi pani bilecik, wrzucę go do skrzynki.

Zaczerwieniłam się po uszy przy jej: «le voila». Drżącą ręką przylepiłam markę i złowrogi dokument, który miał mi przynieść tyle zmartwienia, wręczyłam baronowej. Ta jakby była do tych rzeczy przyzwyczajoną, z zimną krwią wsunęła go do kieszeni, podczas gdy właśnie głos dzwonka rozległ się w przedsionku.

Rudolf, który dowiedział się od służącego, że jest pani Ilowska, przyszedł do nas, zamienił kilka żartobliwych frazesów i odprowadził ją do drzwi kurytarza.

Miałam więc czas ochłonąć. Ale nie było to łatwo. Na szczęście Rudolf w powrocie wstąpił jeszcze do swego pokoju, poczem ukazał się tylko na progu z oznajmieniem, że za dziesięć minut towarzyszyć mi będzie na spacer.

Po upływie tego czasu uspokoiłam się zupełnie.

— W gruncie — tak filozofowałam — cóż to złego? Niewinny żart, który dostarczy nam materyi do śmiechu, a dobroczynność zbogaci darem baronowej! Już naprzód widzę, jak się rzecz cała odbędzie. I tak: koło szóstej, przyjdzie list razem z dziennikami. Rudolf naprzód odczyta go pobieżnie, potem z uwagą, roześmieje się i pospieszy do swej Alidy, ażeby wespół z nią autorkę tegoż odgadnąć. Gdyby uważał to za mistyfikacyą ubawi się jej nieudaniem. W przeciwnym razie, jeśli by sądził, iż owo oświadczenie miłości zrobiono na seryo, wtedy wzruszy ramionami i ja usłyszę pochlebne zapewnienie, że serce jego tylko dla mnie uderza, wszystkie czarodziejki są mu obojętne, a szafirowe domino z niebieskiem obszyciem dlań nie istnieje.

Zatem przeszliśmy się troszeczkę; o wpół do czwartej jedli obiad i w najlepszym humorze wypili kawę.

O piątej Rudolf wstał z kołyszącego się fotelu, zapalił świeże cygaro i rzekł podając mi rękę:

— Mam pilne zajęcie na półtorej godziny. Przez ten czas najdroższa odpisz już raz matce. Znam ja dobrze teściowe. Jeżeli jeszcze dłużej zwlekać będziesz odpokutuję to później. Możesz odemnie ukłony dołączyć i wujowi, byle tylko nie Hannie — słyszysz? To sobie wypraszam! Szkaradny bowiem masz zwyczaj improwizować pozdrowienie, tak bez pełnomocnictwa! A więc do widzenia!

Wyszedł, a ja udałam się do salonu, gdzie stoi mój duży wygodny sekretarz (bioreczko w budoarze jest tylko pro forma) i zaczęłam przewracać w papierach.

Był to list nieco przykry, wiesz, epistoła, w której każde słowo musi być rozważone, ponieważ chodziło o interes, a mama w tych rzeczach jest tak drażliwą! Przed południem już kilka razy pisać zaczynałam, lecz nie mogłam znaleść odpowiedniego wyrażenia. Teraz zaś gdy serce biło mi w bolesnem oczekiwaniu, a niepokój wzrastał co chwila było to zadanie straszliwe! Dwadzieścia minut siedziałam to zanurzając pióro, to znów rączkę wciskając w zęby.

W końcu z przezwyciężeniem napisałam,—vogue la galère! Wykonałam obowiązek, a gdyby się Rudolfowi list nie podobał może go podrzeć.

Wybiło trzy kwadranse na szóstą. O szóstej najpóźniej powinien przyjść listonosz.

Stanęłam w zagłębieniu okna, tam właśnie zkąd przed kilkoma godzinami pani Ilowska patrzała na ulicę. Ledwie nie wykrzyknęłam głośno, gdyż w tej chwili listonosz ukazał się na rogu Alicyjskiej alei.

Musiałam usiąść. Przestrach ubezwładnił mi członki. W trzy minut potem zadzwoniono. Słyszałam jak portier otworzył, odebrał pocztę i udał się do pokoju mego męża.

Słuchałam bojąc się oddychać.

Skazówka zegara bronzowego stanęła na szóstej. Mechanicznie policzyłam uderzenia dziwnie straszno rozbrzmiewające w pustym salonie.

Zewnątrz nic się nie poruszyło.

— Rudolf — rzekłam do siebie — pewnie się w studyowaniu Stuarta Milla tak zagłębił, iż nie zważa na przyniesione pisma. Choć oczywiście, wiedziałam doskonale, że to nie było jego zwyczajem. Świeże dzienniki odrywały go zwykle od najpilniejszego zajęcia.

Piętnaście minut po szóstej; — pół do siódmej — pięć minut po pół; — ciągle żadnego znaku życia.

Można było oszaleć. Dotąd wzruszoną byłam z niecierpliwości, teraz okropna myśl wstrząsła mną do głębi: A jeśli pani Ilowska miała słuszność?

Wyobraziłam sobię sytuacyą w najokrutniejszych barwach.

Rudolf zawachawszy się chwilę nabrał przekonania, iż w istocie chodzi tu o oświadczenie miłości uroczego sentymentalnego nieco stworzenia, które prawa serca wyżej stawia nad przykazania konwencyonalnej moralności. W ten sposób postanowił tajemniczą piękność poznać przynajmniej.

Możesz sobie wyobrazić droga Olesiu, jak myśli te mnie torturowały. Oblicze moje płonęło, serce ściskało się; owijałam kurczowo chusteczkę o drżące palce.

Wtem nareszcie drzwi jego pokoju poruszyły się na zawiasach.

— Ubieraj się już dziecię drogie — rzekł stanąwszy na progu — ciotka Helena jak wiesz jest pedantką.

— O! za chwilę będę gotową — żywo odpowiedziałam.

Starałam się ile możności być naturalną — czy mi się to udało? nie wiem, on zato, niebo biorę na świadka, okazał przerażająco komedyancki talent: Niewinniątko! Nie przyniosł zwodniczego biletu, ażeby wspolnie żartem się ubawić, nie wspomniał nawet o otrzymaniu tegoż, ani nie zdradził pomieszania, tego najmniej się spodziewałam.

W pierwszej chwili byłam oburzoną. Później uspokoiłam się zwolna.

Może — mówiłam do siebie—uważa to za białostkę, a może lęka się wzruszyć Alidę swoją. Tak — tak niezawodnie! List pewnie już spoczywa w koszu papierowym podarty na szczątki— i cała sprawa skończona.

O tem mogę się łatwo przekonać!

Natychmiast nawet.

I gdy Rudolf poszedł do ubieralni, wsunęłam się lekko bez szmeru do jego gabinetu.

Drżącą ręką przerzuciłam papiery w napół zapełnionym koszu.

W kilka minut wszelako przekonałam się o smutnej prawdzie, iż nieszczęśliwy mój bilet—doux *nie* znajduje się pomiędzy szczątkami pism i listów.

Ale jeszcze jedna pozostała mi nadzieja: wszakże przez szczegolną ostrożność mógł list spalić.

Bojaźliwie, jak gdybym uczynić miała coś zdrożnego, otworzyłam bronzowe dzwiczki od pieca. Nie było tam żadnej iskry. Kilka wygasłych węgli i zbielały popiół — oto wszystko.

Ach! Olesiu! w tej chwili zdawało mi się, iż ujrzałam symboliczne wyobrażenie szczęścia mego!

Z ciężkim smutkiem udałam się do swego pokoju, gdzie już Klara na mnie oczekiwała.

Klara — znasz ją — szkaradne ma przyzwyczajenie «zapominać o swem stanowisku» (słowa ciotki Heleny) tak dalece, że

podczas fryzowania mnie opowiada różne głupstwa, plotki miejskie i podobne niedorzeczności... Ale ponieważ w innych względach jest bardzo skromną, nic jej za to nie mówię. Tym razem wszelako przywiodła mnie do rozpaczy. Jak gdyby wiedziała, co mnie zajmuje głównie, rozpoczęła fatalną rozmowę, posuniętą aż do niemożebności. Tak zawsze się trafia.

— Wielmożna pani słyszała już?.... zagaiła biorąc żelazko z maszynki (bo musisz wiedzieć Olesiu, iż krótkie włosy na karku, które nie dadzą się podczesać, zapiekać sobie każę). Wielmożna pani słyszała? Hrabina Terska niespodziewanie dziś odjechała do Petersburga bez pożegnania.

— Tak? — odparłam obojętnie.

— A wielmożna pani nie zgaduje dlaczego?

— Dlaczegóż?

— Hrabina w paletocie pana hrabiego znalazła niebieski bilecik — miłosny bilecik od chórzystki z opery! Gdyby to była choć panna Adrian, albo inna jaka sławna śpiewaczka! Ale to takie zwyczajne, bez talentu stworzenie! Zresztą: piękną ma być co prawda, bardzo piękną.

— Klaro — muszę cię prosić — rzekłam silnie zarumieniona, bowiem wyobraziłam sobie, iż ta niedorzeczna wścibska w paletocie mego męża może ów zdradziecki bilet wynaleść i mieć śmiałość... Myśl była okropną.

— Przepraszam bardzo — uśmiechnęła się, podczas gdy małe jej okrągłe palce fryzurę mi piętrzyły, lecz myślałam, że wielmożną panią będzie to interesować. Poprzednia moja chlebodawczyni, baronowa Rolfrode, zwykle mawiała: «My kobiety w cierpieniu wszystkie jesteśmy sobie równe». A to musi wielmożna pani przecie pozwolić, że hrabina Terska jest prawdziwym aniołem dobroci i piękności.. Trudno pojąć dlaczego jej się to właśnie zdarzyło!

Westchnęła, ażeby zaraz potem rozpocząć inne opowiadanie. Mnie jednak coraz było smutniej i ciężej na sercu. Paplanina dziewczyny złym prognostkiem mi się wydawała. Myślałam sobie: Prędzej czy później taki los cię czeka jak hrabinę Terską, a samaś sobie go sprowadziła! Wiadomo bowiem: niechno raz tylko lew krwi pokosztuje!.... Z początku złudzenie go rozdrażni, potem naturalnem następstwem rzeczy przyjdzie na myśl, że jednak byłoby to wybornem, a w końcu.....

Niedługo będę czekać na rozstrzygnięcie. Jeżeli przystanie na propozycyą bezimiennego listu, w takim razie najpóźniej jutro coś wymyśli, co mu umożebni dotyczącego wieczora dom opuścić bezemnie.

Tak sądziłam przynajmniej.

Niestety! oszukałam się. Dziś w niedzielę, a zatem w dwa dni po odebraniu biletu Rudolf jest tak obojętny, tak spokojny jakby nie widział go na oczy. A przecie pani Ilowska zaręcza, że natychmiast wrzuciła list do skrzynki. O maskowym balu nie mówi ani słowa. Wczoraj u ciotki Heleny siedział przy stole obok pani Ilowskiej. Oboje bawili się doskonale. Baronowa kilka razy spojrzała ku mnie, jak gdyby chciała powiedzieć: «Któż miał słuszność?» Na schodach nieznośna szepnęła mi do ucha: maleńka miłosna awanturka zdaje się go elektryzować! Był uosobioną uprzejmością, dowcipem!..

Słyszę jego kroki w przedsionku! zatem na dzisiaj dosyć. Bądź zdrową mu petite magnonne! Całuję cię w prześliczne niebieskie oczy! Oby los oszczędził ci podobnego wzruszenia!

18 Stycznia, wtorek.

Stało się, jak przepowiedziałam. Niewierny! Gdy sobie pomyślę, że kocham go nad wszystko w świecie, niewypowiedzianie, niezmiernie, że każda myśl, każde uderzenie serca mego do niego należy — a teraz! Ach! to okropne!

Ale pozna on mnie!

Gdy go szczęśliwie zdemaskuję, gdy stać będzie przedemną blady i drżący z przeświadczeniem swej winy, wtedy — hm — wtedy cóż pocznę?

Mamże wyprawić scenę wpośród sali balowej?

Byłoby to w złym smaku, nawet gdyby scena dyskretnie się odegrała!

Pokażęż mu plecy i na własną rękę się zabawię? Lecz będęż mogła tańczyć z zakrwawionem sercem, udając obojętność?

Może!

Gdy zobaczy, że absolutnie go do szczęścia nie potrzebuję, skruszy się w końcu i poprosi mnie o przebaczenie! Ach! musi przecież przyznać jak ciężko zgrzeszył przeciw swojej Alidzie!

Dziś rano — siedzieliśmy właśnie przy herbacie — rozpoczął szkaradną intrygę.

Co tylko napełniłam mu po raz drugi filiżankę, przyczem śliczny kawałek zimnej baraniny, ulubiona jego potrawa, położyłam mu na talerz, gdy z przerażającą obojętnością wrzucając dwa kawałki cukru do herbaty, stanowcze słowo wymówił: Apropos Liddy,—jeżeli jest zadowolony i swobodnie gawędzi, nazywa mnie «Liddy» od czasu mianowicie gdy czytał w Rundschau» śliczną nowellę — a propos Liddy — mam ci coś nieprzyjemnego oznajmić. Z kostiumowego balu oboje nie będziemy korzystać. Inspektor..... hm — ale gdzież list ten podziałem (dotknął się jednej i drugiej kieszeni) *i tem* to właściwie jest obojętnem. Inspektor pisze mi, że jutro koniecznie muszę być w Oelzhausen. Idzie o sprzedaż kawałka lasu koło młyna. Jak wiesz sprawa ta od kilku tygodni jest w toku, ale nasz sąsiad zdaje się być nader rozważnym i przemysłowym, dlatego inspektor nie chce się obarczać ukończeniem interesu. Więc — ale proszę cię Liddy, robisz mi taką twarz jakby ci grad pietruszkę połamał! Istotnie Alida, miałem cię za stateczniejszą i roztropniejszą! Przecie zamężna kobieta niewiele straci, gdy ją ominie żart karnawałowy! Mimo najlepszej chęci nie mogę tego zmienić.

Wypowiedział to wszystko swobodnie jakby było najczystszą prawdą, a mnie serce pukało coraz głośniej. Dla pokrycia pomieszania, którego na razie nie mogłam opanować, zajęłam się samowarem, po chwili dopiero odparłam.

— Przykro mi Rudolfie! bo ten Oelzhausen psuje nam cały sezon. Zdarza się to już po raz piąty...

— Mój Boże! cóż naturalniejszego? Obowiązki powołania pierwsze są niż zabawy.

Szkaradną schadzkę nazwał swem powołaniem! Ledwie się nie rozpłakałam!

— Rozważ tylko—ciągnął z obłudną niewinnością, iż w gruncie nie masz się na co uskarżać. Podczas gdy inni właściciele ziemscy siedzą w swych dobrach, ja dogadzając ci, ciągnę do miasta i pozwalam się wlec wszędzie jakbym był narzeczonym od półtora miesiąca, a nie rozsądnym małżonkiem w drugim roku pobrania się, do tego wielbicielem umiejętności i namiętnym zwolennikiem spokoju.

I ja to musiałam wysłuchać droga Olesiu przy najczarowniejszem śniadaniu, gdy właśnie niewdzięcznikowi najpiękniejszy kawałek baraniny położyłam na talerz! Przez kwiaty (pod przenośnią), jeżeli to w ogóle można nazwać kwiatami, pan Tyrow dał mi do poznania, iż epoka miłości, względności i kurtoazyi już przeminęła! Tak jest, na nieszczęście nie jest on już narzeczonym, ale mężem, znajdującym się na najgorszej drodze; zdrajcą, Don Juanem! Ach! i to wszystko sprawił mój bezimienny bilet!

— Proszę cię Rudolfie—odpowiedziałam, zwalczywszy przykre uczucie, proszę serdecznie; pozostaw całą sprawę inspektorowi.

— Tak ucieszyłam się tym balem! Ciebie oczywiście podobne zabawy nużą, lecz porównaj, jeżeli istotnie lubisz wygodę, paro-

godzinny przymus z tyloma trudami podróży. Ale wiesz co? Możemy zrobić układ! Ja zkwituję z maskowej uroczystości, a ty z swego Oelzhausu i oboje zostaniemy w domu! Zrobisz to dla mnie, nieprawdaż? Popatrzył mi prosto w twarz. Duże jego, prześliczne oczy dziwnie zabłysły; zdawało mi się przez sekundę, że pochwyci mnie w ramiona i zawoła pokornie: Tak droga Alido, zostanę przy tobie. Ale wkrótce nieznaczny uśmiech przebiegł mu po ustach, tak delikatny, tak wytworny... i z poważno-uprzejmą stanowczością rzekł:

— Nie może być Alido! Bezwarunkowo muszę znajdować się przy ukończeniu interesu! Bądź rozsądną i nie dręcz mnie dłużej.

— Pójdę więc z panią Ilowską! zawołałam hardo.

— Nie zrobisz tego, gdyż znasz moje zasady.

O! tak znałam je bardzo dobrze. Zazdrosny aż do ekscesu, (gdyż nazywam to zazdrością, lubo do niej się nie przyznaje) swobodnie i lekko bieży po drodze niewierności!

Jeszcze raz probowałam odwieść go od przedsięwzięcia. Płakałam nawet, bowiem zgryzota, troska i trwoga sprawiły, iż nie potrzebowałam uciekać się do łez wymuszonych.

Wszystko nadaremnie.

W końcu duma się we mnie obudziła, przestałam nalegać.

— Dobrze więc — jedź! Pozostanę w domu — rzekłam obojętnie!

W milczeniu skończywszy herbatę, schroniłam się do mego cichego buduaru, gdzie zalewałam się łzami, podczas gdy Rudolf pojechał do parku miejskiego.

Mogłam go może zewstydzić, gdybym rzekła: «Pokaż mi list od twego inspektora!» Ale czyż listu tego nie mógł zfingować? Ci panowie, stworzenia, jak twierdzi pani Ilowska, najwięcej mają pomysłów wtedy, gdy chodzi o rzeczy nie bardzo dozwolone. Jakkolwiekbądź, gdybym go była zdemaskowała przed czasem, powodzenie byłoby niezupełne. Jutro, jutro między trzecim a czwartym słupem! Nie znajdzie żadnego wykrętu; nastąpi nieodwołalna katastrofa! Wówczas: albo — albo! Albo przeprosi mnie pokornie i przysięgnie na honor, że nigdy, nigdy w życiu nie zejdzie z drogi obowiązków, lub też opuszczę dom jego na zawsze!

— Ach! jestem bardzo nieszczęśliwą!

Ciąg dalszy nastąpi.

ALBUM POLSKIE.

(XVI. XVII. i XVIII. w.)

J. I. Kraszewskiego.

Dla objaśnienia »Albumu« przytaczamy wyjątek z pisanego do nas listu J. I. Kraszewskiego:

»Mam ciekawe *Album polskie* złożone z kartek różnych, zawierających godła, herby i pamiątkowe inskrypcje osób znanych i nieznanych od XVI. wieku począwszy do XVIII. Są to powydzierane kartki z tych książeczek, w których Niemcom się na niezabudź zapisywali Polacy, uczęszczający na uniwersytety niemieckie. Są tam Krasińscy, Radziwiłły itp.

»Kosztowną tę pamiątką radbym wydać z komentarzem. Rzecz będzie na niewielkich kilkadziesiąt stron druku. Jeżeli chcecie to wam je zwolna przygotuję do Przeglądu.«

Pierwsza karta.

Bardzo pięknie akwarellą odmalowany herb Nałęcz, ze czterma kolligacyjnemi. Nałęcz na małej tarczy umieszczony w pośrodku wielkiej, podzielonej na cztery części. Na prawo: Rola, pod nią Jasieńczyk, na lewo Dołęga, u spodu Junosza.

Żadnego podpisu ani znaku, któryby mógł naprowadzić na odgadnięcie właściciela herbu. Malowanie artystycznie piękne. Mąż na hełmie, z przepaską na głowie trzymający dwa rogi, wybornie narysowany. Dokoła ozdoby liściaste pąsowe z białem, a w nie wplecione zielone palmowe po stronach obu.

Druga karta.

Blasius Zimmermanius Lancicens. Domło Joanni Ziarineczky.
Dono dedit. Item Paulus Kelemen. 1563. Nicolao Pusocki obtulit. 1683. Die 7 Aug. Eperies.

Trzecia karta.

15 (serce dwoma strzałami przebite) 73.
παρὰ κυρί'ω βοήθει μου
M. M. (ważki) M. M.
Esto mihi Phylides (sic) et ero tibi semper Orestes.
Si nos disiungat sors inimica luci.
Haec scripsit Valerianus Kołek de Cieluśznica Nobili ac omni genere virtutum ornato Sebaldo Welsezo. Argentineae. 20 augusti anno ut supra.

Rodzina Kołków herbu Trąby wspomniana jest u Paprockiego, żyła w Krakowskiem.

Czwarta karta.

Ozdobnie odmalowany herb Abdank, ale na hełmie trzy pióra pawie. Do koła ozdoba w kształcie wieńca. U góry na rozpostartej karcie:
Cum sunt amici esse sibi thesauros putet.
U dołu na drugiej karcie:
Illustri ac Generoso Dno Joanni Georgio L. Baroni à Clesen amoris ergo insignia sua fieri curavit. Paulus à Warssyce Warssycki Baro. 1577.

Znaną jest ta rodzina Warszyckich, h. Abdank, z Łęczyckiego, ale Pawła ani Okolski, ani Niesiecki niema.

Piąta karta.

Herb, akwarella. Tarcza na czworo podzielona. Strona prawa, u góry Ciołek, u dołu Korab'. Strona lewa, odwrotnie, Korab', Ciołek. Ozdoby liściaste niebieskie i pąsowe — Na hełmach dwoch, pół Ciołka i Korab'.
U góry napis:
Extinguo incendia flammis.
U dołu:
Stentzel Cziolek graff zu Zeliechow. 10 Septembris 1580.

Karta ta, dla genealogij Ciołków z Żelechowa jest ważną. Stanisław ten jest niewąpliwie potomkiem wojewody Mazowieckiego tegoż imienia. Słynął Stanisław Ciołek z Żelechowa z nadzwyczajnej siły, gdy dzieckiem jeszcze będąc dwu chłopców na

dwu dłoniach nosił. W Krakowie dzwon wielki u P. Maryi, którego czterdziestu ludzi nie mogło wciągnąć, sam wniósł na wieżę. Drzewo surowe ścisnąwszy w ręku, sok z niego wyciskał, dwie podkowy razem łamał, powrozy targał, mieczów dwanaście za końce wziąwszy, do góry podnosił... itp. Widać z podpisu, że hrabiowie z Żelechowa zniemczeli i rodzina wkrótce znikła z dziejów...

Szósta karta.

U góry:
Perge fata non obstant.
Niżej:
Nomen de Popow traxit Mierzenius Abram.
Quem tu perpetuo suscipe corde precor.
1584.

Mierzeńscy hr. Leliwa: w ziemi Czerskiej. Niesiecki ma, zdaje się, tego samego Abrahama, syna Walentego, który żonaty był z Morsztynówną starościanką Filipowską? O tem żeby się pisali z Popowa, niema wzmianki. Popowskich różnych herbów, było rodzin kilka.

Siódma karta.

Herb Odrowąż, akwarella.
U góry:
15 — I. T. M. G. H. — 86.
U dołu, niemieckiem pismem:
Hans Lessotta (Lasota) von Stebelow.

Lassotów ze Steblowa, herbu Odrowąż, nie znajduję nigdzie. Inni Lasotowie byli h. Jelita i Rawicz. Między majątkami, od których się pisali Odrowąże (ze Sprowy, ze Szczekocin, z Dąbna) nie znajduję też Steblowa? Mogła to być gałąź szląska.

Ósma karta.

Nihil est ab omni parte beatum.
U dołu:
Haec Dno Hancko.
amico ac convictori suo suaviss. in perpetuum contractae amicitiae vinculum scripsit Paulus Kochański Borussus. Senis 5. kal. Jun. 1589.

Kochańskich rodzina h. Ogończyk, znaną była w województwie pomorskiem. Jerzy posłował do Turek w 1616.

Dziewiąta karta.

A͞o 1589 adi. 15 d. Apr.
Amica naturae Coniunctio
Haec
Nobili Dno Abrahamo Hantko Wratisl. amicitiae ergo scripsi, Patavij Cornelius Corbius Polonus. m. p.

O Corbiusach tych nigdzie nie znalazłem wzmianki. Rodzina prawdopodobnie mieszczańska.

Dziesiąta karta.

15 ✠ 90.
Alles mitt Gottes Hilff.
Hans Ladislaus Maleszicky von Zerucziz geschribn zu Padua. Den 5 Mayo.

Maleszyckich niema Niesiecki.

Jedenasta karta.

Tandem bona caussa triumphat.
Haec ornatss; nec non doctiss; D. Hieronymo Fabricio jam jam Dantisco in Germania abeunti scribebat Fridricus Sigfriedus Saxo. S. R. Mis. in Polonia Prothonotarius publ. Anno 1593-3 Maij.

Dwunasta karta.

1594.
In Domino salutare meum et gloria mea petra fortitudinis. Spes mea in Deo est.
Fridericus Curlandie et Semgalliae Dux, manu pp.
U dołu czarno wyciśnięta pieczątka z herbem. Jeleń bieżący po gorach.

Fryderyk Kettler książe kurlandzki razem z bratem Wilhelmem, lennem prawem od. r. 1589 trzymający księstwo to.

Trzynasta karta.

1594.
Deo duce virtute comite.
Herb książąt kurlandskich akwarela. Wilhelmus Curlandius Dux, manu pp.
Taż sama pieczątka czarna co w 12...

Brat poprzedzającego, który później zbiegł do Szwecyi i odsądzonym był od lennictwa. *Ciąg dalszy nast.*

ZE LWOWA.

Przybywszy do Lwowa na kilka tygodni, spisuję wrażenia, jakie to miasto na mnie zrobiło.

Bardzo zajęty, nie mam ani czasu, ani sposobności do wypracowania wyczerpującej monografii. Jedynie, w wolnych chwilach, używając przechadzki, robiłem spostrzeżenia i one w całość zestawiam. Atoli zaraz na wstępie przyznaję, że jak to mówią, piszę od ucha. Nie mam też żadnej pretensyi do dokładności lub gruntowności. W niejednem mylę się może, drugie zaś mogło ujść mej uwagi. Ręczę tylko, że piszę bez parcyalności i że chcę być objektywnym, przedmiotowym. Naprzód więc zgadzam się na wszelkie sprostowania i uzupełnienia, jakiemi by się komu mogło podobać ten mój bezprensyonalny list zaszczycić.

Pierwsze co tutaj obcego uderza, to pewna, za daleko idąca skromność mieszkańców. Sami ze swego miasta żartują. Ciągle słyszy się ironiczne wyrażenia „nasz Lwigród, stolica Golicyi i Głodomeryi, Nadpełtewska stalica“; a gdy ktoś Lwów chwali, bystro patrzą mu w oczy, czy nie żartuje? Różnią się tem przedewszystkiem od Tarnowian, którzy w miejscowym patryotyzmie, miasto swe to „hetmańskim grodem“ to „trzeciem w kraju“ nazywają, a swą katedrę, ratusz i ogród miejski z uczuciem pewnej dumy obcemu pokazują.

Lwów jednak, ze swemi blisko 120.000-mi mieszkańców, ma ludność cztery razy większą od tarnowskiej i niezawodnie jest miłem i pięknem miastem.

Podróż bowiem z Krakowa koleją żelazną Karola Ludwika, z wyjątkiem amfiteatralnie zbudowanego Przemyśla żadnych malowniczych widoków nie przedstawia. Dlatego też turysta równinami, a bardziej jeszcze falistością okolicy znudzony, ze zdziwieniem admiruje prześliczne położenie Lwowa. Miasto to szeroko się rozciągające, z trzech stron wzgórzami, powiedzmy górami otoczone, z wieżami i kopułami, (niestety tylko bez wody) stanowi pejzaż nadzwyczaj urozmaicony i rzeczywiście nader nadobny.

Co do wody albowiem, to rzeczka Pełtew szpeci to zresztą tak ładne miasto, którego środkiem przepływa. W lecie zatruwa ona swemi wyziewami powietrze i należałoby ją jak najprędzej w całej długości w obrębie Lwowa sklepieniem pokryć i zamaskować. Wątpię, by jakowe względy techniczne, np. obawa przed naglem wezbraniem w czasie długotrwałych ulew, lub coś podobnego temu na przeszkodzie stało, bo przecież jest już ona w niejednem miejscu zakrytą, a obecnie w ulicy Akademickiej zasklepiać ją poczęto, przez co ulica ta stanie się

nader szeroką i okazałą. Zdaje się więc, żeby to i „na Walach“ zrobić się dało. Przypomina to wszystko rzeczułkę die Wien, Wiedeń szpecącą i sprawę jej pokrycia.

Pytany przez Lwowian co mi się tak tutaj podoba? odpowiadałem:

Naprzód zabudowanie miasta. Jest ono bowiem zupełnie nieregularnem, a ja to lubię. Tak symetrycznych jak np. Karlsruhe, zbudowanego w wachlarz, którego punktem centralnym jest pałac wielkoksiążęcy, na półokrągłym placu stojący, a od którego, jako promienie, wszystkie wychodzą ulice, przecznicami, do owego placu równolegle bieżącemi, poprzecinane; lub jak Manheim, na amerykański sposób, w szachownicę zbudowanego, nie znoszę. Jest wprawdzie we Lwowie piękny, kwadratowy rynek, oczywiście najdawniejsza część miasta, — ale zczasem, według potrzeby i miejscowości, powstawały różnym sposobem ulice. Nieregularność ta jednak nie razi; bo ulice długie i szerokie, a tę wielką mają korzyść, że nie dozwalają ruchowi, a zwłaszcza tak zwanemu pięknemu ruchowi koncentrować się na pewnem tylko miejscu. Tu wszędzie ludno, gwarno, wesoło, a spacerujących pełno.

Drugim powodem też, że Lwów tak miłe na mnie robi wrażenie, jest usposobienie jego ludności. Kraków mimo swej artystycznej i historycznej przewagi, która głównie na obcych, zwiedzających go, wielkie wywiera wrażenie, jest cichy, pusty i smutny. Poznania ruch brzydki i niemiły. Lwów zaś zaraz idzie po Warszawie i do niej pewne ma podobieństwo. Chcesz po pracy wypocząć, chcesz rozpędzić poważne, albo trapiące cię myśli, idź na ulicę, wśród tę uprzejmą, ogładzoną, wesołą rzeszę, a rozerwiesz się i wypogodzisz. Lwowianie też pod tym względem i Wiedeńczyków przypominają. Gdy zaś już o ludności tu mowa, więc mimochodem przytoczę, że miasto to zupełnie jest polskie i tylko polski język na ulicach się słyszy. Prawda, że długich jupic i pejsów tu dużo, ale ci co je noszą, głównie po pewnych podrzędniejszych ulicach się gnieżdżą, wielu zaś izraelitów, powiadam: bardzo wielu, po polsku z rodzinami swemi rozmawia i w niczem się w stroju od reszty ludności nie różni.

Uderza tu obcego niestosunkowo wielka liczba młodych i pięknych wdówek. Nie przesadzę mówiąc, że każda czwarta lwowianka w żałobie. Gdy badania statystyczne nigdy mnie nie nęciły, nie dochodziłem tego, czy istotnie śmiertelność „mężów“ we Lwim grodzie jest większą niż gdzieindziej, ani czy każda, którą się widzi żałoba jest dowodem opłakiwania zmarłej, drogiej osoby. Tutejsza płeć piękna zasługuje jednak na to miano, dobrze się ubiera, jest elegancką i ona także do mieszkanek Syreniej stolicy wiele ma podobieństwa.

Jako trzeci powód wreszcie, że Lwów podobać się musi, cytuję tutejsze liczne ogrody i skwery.

Tuż przy mieście, w bliskości Namiestnictwa znajduje się tak zwana Piaskowa Góra, czyli Wysoki Zamek. Stał na niej niegdyś, naprzód drewniany, przez Tatarów spalony, a potem przez Kazimierza W. murowany zamek. Z tego ostatniego nawet jeszcze kawałek muru pozostał, tuż obok kopca, który tu za inicyatywą Dra Smołki w pamiętny jubileusz Unii Lubelskiej w r. 1863 sypać poczęto. Góra sama jest znaczna, w śliczny angielski park zamieniona, z jezdnemi drogami, ścieżkami, klombami i trawnikami i daje widok wspaniały na całą okolicę, bo na imponujący gmach inwalidów wojskowych, na koleje żelazne Karola Ludwika i Czerniowiecką, na daleko, prosto ciągnącą się szosę Złoczowską, przy której widać Dublany (wyższą szkołę rolniczą) na zakład hidropatyczny „Kisielkę“, piękne miejsce spacerowe; i na rozległą równinę zwaną „Zniesienie“, na której w r. 1675, Jan III. z małym hufcem rycerstwa, walne odniósł nad Turkami i Tatarami zwycięztwo. Poucza nas o tem napis na wielkim bloku skały umieszczony. Blok ten w roku 1883, w 200 letnią rocznicę odsieczy wiedeńskiej, postawiono na zamkowej górze, na pięknej esplanadzie, zkąd właśnie całą ową widać równinę. Dalej idąc natrafiamy na widok na strzelnicę i na nowy ogród miejski, na Bastyony, w oddaleniu na Kulparków (zakład dla umysłowo-chorych), a wreszcie na Katedrę św. Jura. W bliższym zaś zakresie na całe miasto u stóp tej góry się rozciągające. U jej podnóża znajdują się tak zwane „szkarpy“ czyli terassy, któremi się schodzi na „Podwale“ także obszerną i piękną promenadę przed Namiestnictwem.

Na rynku widzimy starannie utrzymane skwery, również i na placu Halickim i Maryackim, w którego najbliższem sąsiedztwie już są „Wały“, rodzaj plantacyj krakowskich, chociaż oczywiście o wiele krótszych, bo nie okalają one tu miasta, lecz stanowią środek nadzwyczaj szerokiej ulicy. Ulica bowiem Karola Ludwika ma tylko jeden rząd kamienic, trotoar przed niemi i drogę jezdną, a ta już dotyka do Pełtwi, po za którą są „Wały.“ Z drugiej zaś strony obok Wałów jest znowu droga jezdna, trotoar i rząd domów co razem tworzy ulicę Hetmańską.

Byłby to spacer nader miły, cienisty, lecz czarna bursa, pantoflowa, kulisa, lub jakby to nazwać, niestety obrała go sobie na miejsce zboru; interesów zapewne się tam dużo załatwia, ale elegancyi i przyjemności o tyle też mniej się na Wałach spotyka.

Na końcu Wałów, przed teatrem Skarbkowskim znów jest skwer na placu Gołuchowskiego. Nie dość na tem. Idąc od rynku piechotą, o trzy kwadranse drogi, dochodzi się do ostatnich domów Stryjskiej ulicy. Otóż w tem miejscu miasto zakłada nowy ogród publiczny, wcale wielkich rozmiarów, przerabiając tam położone góry i parowy na bardzo ładny park. Z wyższych punktów ma się śliczne widoki na miasto i na przeciwległy Wysoki Zamek. Oczywiście, trzeba jeszcze pewnego czasu, by nowo założony ogród się rozwinął, tj. by świeżo w nim zasadzone drzewa i krzewy dostatecznie się rozrosły.

Lecz perłą między wszystkiemi tutejszemi spacerami, prawdziwą ozdobą Lwowa, miescem dziwnie miłem i pięknem, dla tego też ulubionem od publiczności jest ogród „miejski“ czyli pojezuicki. Położony tuż przed pałacem sejmowym, ciągnie się szeroko i długo jako bardzo ładny i starannie utrzymany park angielski, pełen małych nierówności terenu, z których dobrze umiano skorzystać, pod górę, aż niedaleko św. Jura. Obok miejskiego ogrodu a wzdłuż niego, między ulicą Kraszewskiego a przedłużeniem Majerowskiej aż po ulicę Klejnowską ciągną się znowu dość znaczne a wcale eleganckie promenady. Słowem mało miast posiada stosunkowo tak wiele i tak pięknych ogrodów jak Lwów. Jest to tem godniejszem uznania, że prócz Zamkowej Góry przed 20-tu laty ich jeszcze nie było, a dziś tak miłe i schludne miasto raziło naówczas brakiem porządku, czystości i dobrych bruków.

Lecz nie dość na tem, że powiedzieliśmy, iż Lwów jest wesołem, ładnem, nieregularnem miastem, pełnem ogrodów. Nasuwają się tu różne dalsze pytania. I tak: jestli ono biedne czy bogate? Czy widać w niem wielki zbytek? — odpowiadam: nie, ani zbytku ani nędzy się tu nie napotyka. Na oko sądząc, przyszłoby się do przekonania, że tu panuje aurea mediocritas. Widzi się wprawdzie i czwórki koni ale w małej liczbie, więcej dwukonnych ekwipażów, ale i te raczej są przyzwoite, correct, aniżeli zbytkowne i eleganckie. Sklepów dużo i dobrze zaopatrzonych, ale owych kolossalnych zwierciadlanych szyb i olśniewających wystaw tu niema. Wszędzie tylko jakaś wesoła i praktyczna filozofia życia, która woli rzeczywiście używać, aniżeli niszczyć się nad stan żyjąc i coś udawając. I ma ona racyą. Na zimę jednak i podczas zebrania sejmu miasto się bardziej ożywia przez zjazd obywatelstwa wiejskiego, wtedy też oczywiście więcej jest zabaw i życia towarzyskiego, odczytów, koncertów. Co do comfortu, odpowiedź prosta. Życie tu niezbyt drogie, a choć nie dochodzi szczytu żądań sybarytów przecież jest wygodne i zadawalające. Jest kilka hotelów, w których znośnie się mieszka. Restauracye, kawiarnie, cukiernie są przyzwoite. Są kasina i resursy, jest opera, oczywiście nie celująca, ale przyzwoita, jest dramat i komedya, ta ostatnia bardzo dobra. Teatrzyk jest wprawdzie mały, ale dobrze urządzony i posiada śliczne dekoracye, nic do życzenia nie pozostawiające (n. p. w Opowiadaniach Hoffmana). Czasem bywa w „Narodnim domu“ halicko-ruski teatr. Muzyki wojskowe i mundurowana banda towarzystwa „Harmonii“ grywają po placach publicznych. Kilka kolei żelaznych, tramwaj i fiakry, a zwłaszcza jednokonki, prawie bezpłatnie publiczność wożące, to wszystko razem tworzy pobyt wcale znośny dla obcego.

Pod względem starożytności miasto to nie imponuje. W r. 1270 założone, a Lwu Daniłowiczowi księciu Halickiemu swą nazwę zawdzięczające, wygląda nawet na młodsze niż niem jest istotnie. Dawniejsze kamienice podobne do krakowskich, bez stylu i ozdób, z dachami zasłoniętemi zwykle przez attyki lub mury parapetowe. Zupełnie nowe budynki, a tych wszędzie pełno, bo miasto bardzo się powiększa i podnosi, naśladują wiedeńskie w złem i w dobrem. Są więc one stylu odrodzenia,

albo przynajmniej styl ten udają. Po dalszych ulicach widzi się wiele nowych, pięknych will z ogródkami.

Jeżeli jednak Lwów ubogim jest co do zabytków starożytności i znakomitych pomników sztuki, to przynajmniej okazuje zawsze i wszędzie cześć dla pamiątek przeszłości i w tej mierze godzien uznania.

Szczególnie tradycye odnoszące się do Jana III., do Stanisława Jabłonowskiego, kasztelana krak. hetmana W-go Kor. obrońcy Lwowa, tu w r. 1702 zmarłego i do dawniejszego od nich Pawła Grodzickiego, bo za Władysława IV. generała artyleryi koronnej są tu w wielkiem poszanowaniu, jak tego poniżej przytoczę dowody.

I tak: na Wałach hetmańskich postawiono odnaleziony stary posąg kamienny, Jabłonowskiego przedstawiający. Na ich początku, przy Maryackim placu umieszczono figurę św. Michała Archanioła, tę samą, którą w r. 1643 Grodzicki z ołowiu odlać kazał i na arsenale postawił.

Na tymże arsenale, budynku bez architektonicznej wartości, przytykającym bokiem do ulicy Sobieskiego, odnowiono w r. 1869 trzy stare kamienne herby. Środkowy z nich przedstawia Orła z Janiną na piersi. Jest on przez to dla heraldyka ciekawym, że na nim herb królewski nie przedstawia, jak to później przyjęto, próżnej tarczy (co heraldycznie żadnego niema sensu) ale ma na niej w kierunku skośnym od lewej ku prawej stronie 5 gwiazd, a pod niemi jeszcze jednę gwiazdę. Nasuwa się więc pytanie, czy Janina dawniej taką nie była? Po lewej stronie królewskiego umieszczono herb miejski, trzy wieże z Bramą w murze je dźwigającym. W Bramie tej Lew w prawo spinający się. Po prawej stronie znajduje się herb o tarczy wzdłuż i w szerz przedzielonej, z piątem polem środkowem. Godła Prus, Topór, Nałęcz i Zasławskich zupełnie by odpowiadały hetmanowi Jabłonowskiemu, którego matka Ostrorogówna, z babki: Zasławska i Tenczyńska. Nie wiem tylko dlaczego na środkowej tarczy Pogoń zamieszczono.

Z powodu rocznicy odsieczy wiedeńskiej nietylko postawiono wspomniany już powyżej kamień z napisem na Wysokim Zamku, ale odnowiono też dom pod L. 10 przy ulicy Blacharskiej położony, a według na nim umieszczonej daty, w r. 1580 zbudowany, z tego powodu, że na gzymsie spoczywającym na 4-ech doryckich kolumnach, a stanowiących ornament bramy, wśród kamiennych floresów umieszczony jest herb Janina. Również na dwupiętrowej kamienicy tynkowanej, o 6 oknach, własnością księcia Ponińskiego będącej, w rynku pod L. 6 położonej, bardzo pięknej, w stylu florenckim, ozdobionej attyką dach zasłaniającą, wmurowano tablicę pouczającą nas, że w domu tym Jan III. przemieszkiwał.

Mówiąc o starych domach prywatnych należy tu wspomnieć o trzech z facyatami z ciosowego kamienia w rynku pod L. L. 28, 14 i 4 położonych. Pierwszy z nich, renesansowy, o dwóch piętrach. Każde z jego trzech okien umieszczone jest między dwoma kamiennemi, na kroksztynach stojącemi kolumnami, dźwigającemi dość bogate gzymsy, na których spoczywają frontony. Drugi z nich trzechpiętrowy o czterech bardzo szerokich oknach, ma nad półokrągło zasklepionemi drzwiami wchodowemi weneckiego Lwa św. Marka, a więc skrzydlatego, księgę trzymającego i datę 1600 r. Niewątpliwie należał więc do jakiegoś we Lwowie osiadłego wenecyanina, a wiadomo, że dużo Włochów po naszych miastach się handlem, sztukami pięknemi i medycyną trudniło. Trzeci wreszcie z tych domów ze wszystkich najpiękniejszy, trzechpiętrowy, o trzech oknach, w stylu florenckim, ma bogatą attykę, nieco ową krakowskich Sukiennic przypominającą.

Wreszcie dwie narożne kamienice od rynku tj. jedna od ulicy Kapitulnej, a druga od ulicy Ruskiej zdobne były na swych winklach bogatą kamienną ornamentyką i grupami figur, lecz dziś to już jest bardzo uszkodzone.

By z rynkiem już skończyć dodajmy, że ten plac kwadratowy posiada na każdym ze swych 4-ch rogów piękne płynące studnie kamienne, dźwigające każda po figurze mitologicznej, że ubrany jest eleganckiemi skwerami, wśród których na środku stoi ratusz, gmach trzechpiętrowy, mający po dwóch stronach po 13, a po dwóch drugich po 17 okien długości. W ścianie frontowej we środku z rezalitem bardzo wyskakującym, tworzącym podjazd, a mającym na 1 piętrze 5 ogromnych półokrągło zasklepionych okien.

Z pośród gmachu tego wznosi się wysoka, kwadratowa, wieża zegarowa, u góry balkonem zakończona. Wszystko bez żadnego stylu, albo w tak zwanym stylu kameralnym, czyli eraryalnym.

Wspomniawszy ulicę Ruską, dodam, że ona do tych kilku należy, które według mego zdania noszą nazwy nadające im pewną cechę dawności. Tu zaliczam ulicę Ormiańską, Serbską, Halicką, Stryjską, a także i nazwę cerkwi Wołoskiej.

Przechodzę z kolei do kościołów. Nie mówiąc tu o ich erekcyi, bo pod tym względem żadnych poszukiwań nie robiłem, uważam, między dziś istniejącemi za najdawniejszy budynek katedralny kościół ormiański. Przy tej sposobności przypominam zarazem, że Lwów jest w całym świecie jedynem miastem mającem trzech arcybiskupów miejscowych, papieżowi podległych. Jest bowiem stolicą arcybiskupa rzymsko-katolickiego, ormiańsko i grecko-katolickiego. Ponieważ zaś istnieje tu także gmina protestancka (augsbursko-helwecka) i liczna ludność żydowska, więc we Lwowie żyje pięć rozmaitych wyznań obok siebie.

Otóż ormiańska Katedra jest budynkiem biednym, skromnym i wcale swą architektoniczną pięknością nie imponującym, ale ciekawym bardzo, bo wiernie przedstawiającym przez jakie przekształcenia przy swem powiększaniu się przechodził. Najpierwej uderza nas oddzielony od ulicy Ormiańskiej murem (ze sztachetami żelaznemi i z bramą) podworzec kwadratowy, cały płytami nadgrobkowemi wyłożony, a przed kościołem się znajdujący. Naprzeciw wchodowej bramy widzimy portyk o 4-ch niskich półokrągło zasklepionych arkadach, dźwiganych przez pięć skromnych kamiennych kolumn, prowadzący do wnętrza świątyni. Dla obeznanego z dawnemi budowlami stylu romańskiego, czyli łuku półkolistego, (błędnie także stylem bazylik zwanego), i wiedzącego w jaki sposób pierwiastkowe chrześciańskie kościoły z domów mieszkalnych rzymskich powstały, nie podlega najmniejszej wątpliwości, że i tu ślady bardzo dawnej romańskiej budowy ma się przed sobą. Podworzec wspomniany to atrium czyli paradisus, a nic nie stanowi, że ze środka onego znikła zczasem (zapewne dla szczupłości miejsca) studnia czyli cysterna zwana impluvium albo cantharus. Portyk prowadził do tablinum dwoma szeregami kolumn na trzy nawy przedzielonego a półokrągłą absydą zakończonego [1]). Że takim był i kościół o którym mówimy, dowodem, że od frontu widać jeszcze część dawnego jej trójkątnego frontonu, tj. owej ściany szczytowej, do której wspomniany portyk dotyka.

Lecz zczasem kościółek okazał się za małym dla miejscowej parafii. Powiększono go więc przez to, że po lewej ręce od wchodu przybudowano doń nową nawę gotycką, z osobnem wejściem. Wtedy też oczywiście musiano główną nawę dawnej świątyni przerobić. Nastąpiło to w ten sposób, że absydę skasowano, w jej miejsce dając prostą ścianę, a wielki ołtarz przeniesiono naprzeciw nowej gotyckiej nawy, tj. do bocznej ściany dawnej budowy, po prawej ręce od wejścia. Oddzieloną zaś absydę przerobiono na czworokątną zakrystyą. Dowodem dla mego twierdzenia są dwie arkady pozostałe z dawnych, pierwiastkowy kościółek na nawy dzielących, dziś żadnego celu ani znaczenia niemające, a przy wejściu do nowej, gotyckiej przybudowy znajdujące się.

Następnie po drugi raz kościół ten powiększono i wtedy to wyrzuciwszy dawną, od wejścia rachując, prawą, podłużną ścianę starej bazyliki, przybudowano w podobnym kierunku jaki ma nawa gotycka, tj. z drugiej, czyli prawej strony nowe presbiterium w stylu barokko i dano kopułę nad pierwiastkowym budynkiem, dziś tylko środkiem tej sztucznej całości będącym.

Lecz jakby nie dość było tego amalgamatu rozmaitych stylów, przy wspomnianej ulicy na prawym końcu muru, zbudowano, zapewne na miejscu dawnej romańskiej dzwonnicy, grubą fantastyczną wieżę. W parterze czworoboczna, jest ona na piętrze ośmiokątną i w czterech narożnikach ściętych przystrojoną tyluż półokrągłemi grubemi pilastrami. We frontowej ścianie dołu umieszczono bramę, na piętrze zaś bardzo wysokie półokrągło sklepione okno. Pokryto zaś tę budowę pięciu kopułami bizantyńskiemi, z których największa środkowa na

[1]) Porównać w tej mierze mój artykuł „Z Włoch“ w Przeglądzie z r. 1883 zamieszczony.

wieży, drugie zaś na pilastrach spoczywają. Sienią wieży wchodzi się na podworzec przed domem arcybiskupim położony i do tegoż domu. Gmach ten, również przy ulicy Ormiańskiej położony, bez stylu, skromny jest bardzo, jednopiętrowy, o 4ch oknach długości.

Drugie miejsce co do starożytności zajmuje rzymsko-katolicka katedra. Front jej, przy ulicy Katedralnej, już przez budowniczego skromnie obmyślany, bo mający obejmować jedno długie ostrołukowe okno między dwoma czworobocznemi wieżami, uległ wielu niekorzystnym zmianom. Gdyż kościół cały otynkowano. Ciężkiej, a na I. i II. piętrze po dwa okna bez wszelkich ozdób koło siebie mającej wieży, dano dach renesansowy.

Ciąg dalszy nastąpi. *S. M.*

KRONIKA.

Dnia 14 Lutego r. b. wdziawszy na się frak odprasowany, wyprane rękawiczki i inne części ubrania, bez których kostium mój nie byłby zupełny, założywszy wdzięcznie pince-nez na organ powonienia, skropiwszy «tatrzańskim zapachem» chusteczkę webową, stanąłem przed lustrem i wydałem lekki okrzyk zachwytu. Okrzykowi temu towarzyszyły rozpromienione oblicza całego mego sztabu domowego, przypatrującego się w niemym podziwie imponującej postawie swego władzcy, pana, ojca i małżonka. Dodajcie do postawy niewymownie miły wyraz oblicza, pełne gracji ruchy, bujną czuprynę chlubnie świadczącą o moralności, a nie zdziwicie się, że w piersi mojej zrodziło się to przyjemne uczucie, jakiego doznają szczęśliwi zdobywcy serc niewieścich. Szedłem na bal «Koła», a na tym balu (proszę o zachowanie tajemnicy) miała być śliczna modrooka i kruczowłosa mężateczka, niedościgniony jak dotąd cel pragnień mojego serca. Nigdy nie byłem Donżuanem, uczułem się nim w tej chwili. Marzyłem rozkosznie o spotkaniu na balu, o wymownem uściśnieniu rączki, o falowaniu zaniepokojonego łona, o spojrzeniu pełnem czułości i nadziei, o drganiu nerwów w namiętnym szale walca, a potem — potem o cichym szepcie przy szumiącym szampanie, o wylaniu uczuć przy porcji rosbeefu, o umówieniu schadzki przy barszczu z bulionem, a wreszcie o zadatkowym uścisku w głębi karety. Mąż naturalnie uścisku tego nie dostrzeże, Veuve Cliquot zrobi swoje.. Trzeba tylko jeszcze wstąpić do fryzjera, aby żelazkiem wyprostował wąsy, ktorych ostrze stanowczo przebije ofiarę moich miłosnych zapałów.

Wstąpiłem tedy do fryzjera, z pogardą rzuciłem okiem na leżące grzebienie i szczotki i myśląc o niej nie zważałem na to co mój wąsopiek z przejęciem wygłaszał. Widocznie miał jakąś prelekcją o loterji liczbowej, ciągle bowiem słyszałem, że wyrzucał z ust swoich numera: ósmy, dziewiąty, dwudziesty drugi, jedenasty, dwudziesty osmy itd. Zirytowało mnie to trochę, mocno bowiem nie lubię liczb, a zwłaszcza tych, z któremi sąsiadują wyrazy: «na zlecenie..... zapłacisz Pan».....

W garderobie balowej znów liczby. «Pańskie futro ośmnaście..... pani dobrodziejki dwadzieścia sześć»,.....

Przeszedłszy piekło garderobiane, rozejrzałem się po sali balowej. Jej jeszcze nie było......

Czułem, że robię wrażenie, choć liczby zasępiły moje oblicze. Podniosłem wargę, przyjrzałem się sterczącym wąsom i pewny siebie skierowałem kroki ku prześlicznej blondynce z tak utoczonym biustem, że każdy tokarz krakowski uczułby się zgnębionym, widząc to niepodobne do naśladowania arcydzieło. Jako dobry znajomy chciałem trochę pożartować na temat miłości i spytałem z uśmiechem, myśląc o defilującej młodzieży: «któryż się Pani najwięcej podoba?»

— Mnie? najwięcej jedenasty...

— Jedenasty? — odrzekłem z zadziwieniem.

— Naturalnie. Podstawę ma potężną, wspaniałą...

— Podstawę? — bąknąłem jeszcze więcej zadziwiony.

— Czyś Pan tego nie zauważył? A jaki wyraz twarzy, jak piękna okrywa go draperja, jaki piękny pomysł ten wieniec laurowy na głowie.....

— A! więc jest kostiumowany?

— Ja mówię na serjo, a Pan żartuje. Przyznaj Pan czy nie ładnie by wyglądał stojący na rynku?

— Zapewne, zapewne — ukłoniłem się grzecznie i odszedłem.

Stojący? na rynku? — co ona mówiła? co to znaczy do miljon kroćset bomb, kartaczy i Marjanów Sokołowskich?!

Schwytałem naprędce jednego z komitetowych i pytam: «powiedz mi na miłość boską, który to jest jedynasty?»

— Jedenasty? oto ten — rzekł wskazując dobrze znanego mi rzeźbiarza. Przebrany za baszybuzuka, wyglądał dość malowniczo, ale bynajmniej nie imponująco. Wspaniałej «podstawy» dostrzedz nie mogłem, wieńca laurowego również. Chyba go zdjął z głowy, albo to była tylko przenośnia zastosowana do pełnego sławy zawodu artystycznego. Nie przeczę, że chłopak to dziarski, ale żeby właścicielka takiego biustu i takich włosów z takiem uniesieniem o nim mówiła i tak się nim zachwycała — to uważałem za nienaturalne, za jakąś dziwną przesadę. A wreszcie: dlaczego on ma najlepiej wyglądać stojący na rynku? Nie! moja blondynka musi być cierpiąca. Biedaczka! a nigdym ją o to nie podejrzywał.

Wtem weszła ona. Zapomniałem o wszelkich udręczeniach liczbowych, drżąco dłoń podaną uścisnąłem i zacząłem coś mówić o szczęściu, jakiego na jej widok doznaję. Uśmiechnęła się ironicznie i z nadąsaną minką dodała:

— Dziwna rzecz, że mnie Pan dziś poznał. Wczoraj dwa razy koło Pana przechodziliśmy, a Pan patrzałeś tylko na dwudziesty ósmy. Nic dla Pana nie istniało, tylko dwudziesty ósmy. Nie wiedziałam, że Pan jesteś takim znawcą.....

— Co za dwudziesty ósmy — zawołałem — na miłość boską wytłumacz mi Pani, bo nic nie rozumiem!

— O panowie nigdy nie rozumiecie jeżeli rozumieć nie chcecie. Słyszałam tylko jakeś się Pan zachwycał tą figurą dziewczęcą na stopniach siedzącą, nie dziwię się, że w zachwycie znajomych pan dostrzedz nie mogłeś.....

Obstupui, co po polsku znaczy zgłupiałem. Co za figura dziewczęca? na jakich stopniach? gdzie, jak i kiedy?

— Słyszałam — rzekła po chwili — z jakim ogniem mówiłeś pan o biuście, w klassycznych linjach nogi i miękkości kształtów..... Powinszować koneserstwa.....

Tego już mi było zawiele. Mnie, człowiekowi poważnemu, który nigdy nie żywiłem sprośnych pragnień, a raz tylko dziś, przed chwilą, pod wpływem jakiegoś szału myślą zgrzeszyłem przeciw wierności małżeńskiej, mnie przypisywać niemoralne zamiary, rozkoszowanie się w znikomym powabie ciała, mnie mówić o jakiejś dziewczynie na stopniach siedzącej z gołemi nogami, a więc o jakiejś kucharce, czy dziewce od bydła — tego już zanadto. Wzgardziłem przewrotnością kobiety, chrząknąłem z oburzenia i bez pożegnania udałem się do salonów restauracyjnych. W uszach mi tylko szumiały, jak nieznośne komary, liczby: jedenaście i dwadzieścia ośm.

Usiadłem przy stoliku — obok mnie dwóch starych jegomościów kłóciło się o... ósemkę. Jeden dowodził, że numer ósmy jest niesmacznym barocco, drugi nazywał numer ten jedynym łączącym w sobie oryginalność z artystycznem wykonaniem.

Zaraza, epidemja — czy już wszyscy mają bzika! Chciałem uciekać i zmierzałem ku podwojom, gdy zastąpiło mi drogę dwóch malarzy z zapytaniem jak mi się podobają «myśli moje.» Ciekawe zapytanie! Odpowiedziałem skromnie, że myślom moim nie przypisuję zbytecznej wagi, nie narzucam ich nikomu, ale rzecz prosta są one dla mnie osobiście pierwszorzędnego znaczenia. «A widzisz!» — rzekł artysta A. do artysty B. i zostawili mnie na środku salonu pogrążonego w zadumie.

Nie, nie wyjdę, dopoki nie rozwikłam tej dziwnej plątaniny. Nikogo dotąd nie słyszałem mówiącego logicznie — jaka w tem przyczyna? Nostradamus wprawdzie przepowiada koniec świata, ale dopiero na rok przyszły — rok więc czasu mamy jeszcze do zwarjowania z przestrachu.

Usiadłem znowu, a za chwilę znalazłem się w towarzystwie pewnego młodego mecenasa znanego z gorączki miłosnej. Pali się ciągle do sylfid teatralnych, rzuca kwiecie uczuć pod stopy mężatek, lata jak charcik za pięknemi buziaczkami panieńskiemi. U niego paragraf 1-szy ustawy karnej opiewa: «kto znając piękną mężatkę, pannę, wdowę lub statystkę nie stara się o pozyskanie jej względów, winien jest zdrady głównej i skazanym zostanie na karę śmierci przez powieszenie obostrzoną postem jednorazowo co tydzień.» No ten przynajmniej mnie nie zawiedzie i po ludzku z nim pogadać będzie można. Zacząłem pierwszy rozmowę:

— Nie prawdaż mecenasie, że aj, aj, jaka ładna pani Aj.....

Roztargniony nic nie odpowiedział, po chwili dopiero zwrócił się do mnie i z miną stanowczą uderzając pięścią w stół zawołał:

— Dla mnie niema jak Astra!

Astra? nie wiedziałem wprawdzie którą z dam astrą nazywają, ale byłem przynajmniej kontent, że o kobietach będzie mowa.

— Tylko—ciągnął dalej mecenas—szkoda, że taka okrągła...

Chciał pewnie powiedzieć, że zbyt pulchna, korpulentna. Odważyłem się więc zauważyć, iż okrągłość Astry nie razi, owszem wcale jej z tem do twarzy.

— To jeszcze mniejsza — odrzekł mecenas — ale za dużo posiada jak na nasz klimat marmuru.

Zanim miałem czas zastanowić się co znaczy: «za dużo marmuru», przysunęło się do nas dwóch lekarzy, z których wyższy dowodził wbrew zasadom logiki, że numer dwudziesty drugi jest dwa razy mniejszy od jedenastego. Postanowiłem nic się nie odzywać i czekać co dalej będzie.

Wkrótce przyłączył się do naszego stolika młody filolog i opowiadał o Homerze. Zarzucał mu filigranowość, głowę wąską, wogole nazwał go słabym i nieoryginalnym. Wywnioskowałem z tego, że zanosi się u nas na «nową szkołę» filologiczną, burzącą dotychczasowe poglądy na muzę starożytnych.

Z rozmowy przy drugim stoliku dosłyszałem, że figura Astry byłaby piękną, ale jest za zbyt podkasaną.. W to mi graj! Przyznam się bez zarumienienia, iż nie razi mnie podkasanie, jeżeli naturalnie dzięki jemu można dojrzeć ładne nóżki i pończoszki. Porzuciłem więc moich współbiesiadników i przecisnąłem się do sali balowej. Szukam podkasanej Astry, ale nigdzie jej znaleźć nie mogę. Natomiast spotyka mnie mój przyjaciel i kolega, bierze na stronę i pyta się z troskliwością o moje zdrowie, mówiono mu bowiem, że dziwnie się zachowuję na balu, że jestem jakiś ponury, zgryziony, że nie umiem utrzymać rozmowy, wszystkiemu się dziwię, kobietom odchodząc nie kłaniam się itd. Zniecierpliwiony opowiadam mu co było i jak było. Z początku widzę litość na jego obliczu, później twarz się rozjaśnia, zaczyna się uśmiechać a w końcu wpada w szalony śmiech nerwowy. Chwila jedna — a byłbym zrobił awanturę, nie znoszę bowiem ani litości ani urągania się ze mnie. Szczęściem śmiać się przestał i wytłomaczył mi nieporozumienie. Te wszystkie jedenastki, ósemki, «myśli moje», Homery, Astry były to modele na pomnik Mickiewicza. Nikt o niczem innem nie może i nie chce mówić w Krakowie. Wszyscy zachorowali na znawców, popisują się ze swoją wiedzą estetyczną, każdy uważa się za członka jury i gotów wyzwać na szpady, jeżeli spotka się z przeciwnem zdaniem.

Po takiem wyjaśnieniu odetchnąłem, ale nie na długo. Modele na pomnik stanęły mi kością w gardle, pragnąłem o czemkolwiekbądź porozmawiać, byle nie o nich. Żądałem rzeczy niemożebnej. Do końca balu, nazajutrz przez dzień cały i ciągle, nieustannie aż do dnia dzisiejszego, w którym spisuję dzieje swych udręczeń, jestem dosłownie mordowany sądami i uwagami znawców i znawczyń sztuki rzeźbiarskiej. Nawet pani radczyni Kryminalska, ktorej wiedza w dziedzinie sztuki nie sięgała dalej jak do wiadomości, że Matejko jest malarzem *histerycznym*, a Grottger *Lituanikę* dla cesarza *olejowo* malował, nawet ta pani radczyni Kryminalska unosiła się wczoraj przedemną nad dłutem rzeźbiarza X. przyznając mu niezwykłą soczystość.

Znaną jest anegdotka o emigrancie, ktory kładł zwykle przy obiedzie dukata, a wstając od stołu napowrót go chował. Zapytywany co to znaczy odpowiadał, iż dukat przeznacza dla biednych, jeżeli w ciągu obiadu nikt nie rozpocznie rozmowy na temat..... miłości. I nigdy przez ciąg lat wielu, jak sam to powiadał, nie udało mu się złożyć w ręce biednych swojej ofiary. Otóż nie dukata, bo mnie na to nie stać, ale reńskiego dałbym chętnie za każdą godzinę, w której nic o modelach słyszeć nie będę.

Jeżeli Krakow rozmodelizowany, to Warszawa gruntownie jest zbrandesowaną. Płeć piękna niezmiernie ciekawa jakby wyglądał krytyk duński bez zarostu; reporterzy ze skwapliwością chwytają wszelkie wiadomości tyczące się jego osoby, jeden nawet podobno z «najpewniejszego źródła» dowiedział się, że Brandes lubi kawę z kożuszkiem i jaja na occie; najkonserwatywniejszy hrabia P. w ciągu jednej nocy po odczycie Brandesa stał się liberałem, co mu równie łatwo przyszło jak zostać znawcą sztuki; podobno nawet ks. Chełmicki groził przejściem na bezwyznaniowość, a pan Jeleński z Roli pejsy chciał zapuścić. Odwdzięczając się za to miał Brandes podobno zamiar ochrzcić się i wstąpić do redakcji «Słowa». I trzeba było być aż pani Papiel-Swięckiej, aby na chwilę uwagę od niego odwrócić. Opowiadają przyjezdni i Kurjery, że kiedy pani Święcka zawołała w Irkierce: «scena, ach scena!» to cała sala jak bóbr zapłakała, żyrandol ze wzruszenia trząsł się jak w febrze, dziesięciu reporterów dostało apopleksji na poczekaniu, a hałas i wrzask był taki jakby pięćset przekupek czynnie i moralnie racji swojej broniło. Nie wiem jak w Warszawie, ale tu z oddalenia te słowa «scena, ach scena!» strasznie rozczulające czynią wrażenie. Gdy sobie pomyślę, że Warszawa mogłaby jeszcze p. Popiel-Święcką mieć na swej scenie, to, to.....—nie, nie chcę wierzyć w możebność tego szczęścia, boby mi serce pękło z radości. Czegóż bowiem więcej byłoby nam już potrzeba?!

Lwów zapowiada «Konrada Walenroda» w 25-tą rocznicę przyjścia na świat pierwszej o nim wiadomości. Wszelkie jednak dane, oparte na ostatnich zjawiskach przyrody, na przepowiedniach astrologów, oraz na kabale mojej sąsiadki, każą wątpić w zapowiedź lwowską W każdym razie radzę tym, co pojechali do Lwowa sprowadzić z domu letnie okrywki i kwartalnie wynająć mieszkania. Może się i doczekają.,...

W Poznaniu panna Pospiszilówna ostatecznie zatwierdziła unją czesko-polską. Magnaci i intelligencja wyprawili jej bankiet, którego doniosłość polityczna równa się afrykańskiej wyprawie Rogozińskiego. Szczęśliwe narody przez aktorki rządzone i oddające w ich rękę nici dyplomacji i polityki. Niechno jeszcze panna Marczello-Chraszczewska pojedzie do Pragi, a Niemca na lekarstwo w Europie nie dostanie. Żałuję niezmiernie tych «niemiaszków,» bośmy się już do nich nieco przyzwyczaili, a tu na taki smutny koniec im przyjdzie.

Ale za to — górą nasi! — zwłaszcza od chwili założenia «filaretów» w Krakowie. Każdy z tych panów, choć jeszcze uczone ich brody nie pokryły się zarostem, nosi już «order gwiazdy» w dziurce od guzika. Widziałem kilku z nich w teatrze i z ciekawością dowiadywałem się, który z nich jest Zanem, a który Mickiewiczem. Przyjąwszy bowiem taką nazwę trzeba mieć pomiędzy sobą i takich ludzi. Nawet Rozbicki nie miał odwagi nazywać się Mickiewiczem, bo i jemu by to nie uchodziło.

Dawni filareci byli tajni — dzisiejsi są aż zanadto jawni, dawniejsi byli żywiołem postępowym — dzisiejsi pozują na konserwatystów, dawnych prześladował pan rektor Śniadecki — dzisiejszych proteguje pan rektor Zoll, dawni nosili zapał w sercu— dzisiejsi noszą gwiazdki w dziurce od guzika, dawnym najmilszy był język polski — dzisiejszym do gustu przypada żargon paryzki, dawnych los nie oszczędzał — dzisiejszych często udaruje łaska pańska zrazem pieczeni.

Mój Maciej nazywa ich *feleretami*. I ma stary racją: muszą ci panowie mieć jakiś *feler* w budowie czaszki. Inaczej filaretami by się nie nazywali.

K. B.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Arcydzieła poetów polskich z objaśnieniami wydawane staraniem W. I. F. Hoscheka.

II. Juliusza Słowackiego Ojciec Zadżumionych. Wstępem i objaśnieniami opatrzył Piotr Parylak c. k. prof. gimnazyalny w Stanisławowie. Tekst przejrzany i krytycznie porównany. Lwów 1884.

III. Jana Kochanowskiego Treny. Wstępem i objaśnieniami opatrzył Piotr Parylak c. k. prof. gimn. w Stanisławowie. Lwów 1885.

W dalszym ciągu wydawnictw z objaśnieniami prof. Parylaka mamy „Ojca Zadżumionych“ Słowackiego i „Treny“ Kochanowskiego. I jeden i drugi utwór poprzedza *nieśmiertelne* „Słowo do Czytelników“ stereotypowe, w którem tylko na miejscu „Maryi“ położono „Ojciec Zadżumionych“ lub „Treny“, dodano odpowiednie dzieła pomocnicze, między którymi zawsze bibliografia Estreichera niepoślednie zajmuje miejsce i własne wydawcy rozprawki. Musi w rzeczy samej swoje utwory bardzo cenić prof. Parylak, jeźli je tak skrzętnie przedrukowywuje; przedrukiem bowiem nieco rozszerzonym wiadomością o życiu i pismach poety jest „Wstęp“ i „Uwagi ogólne“ przy *Ojcu Zadżumionych*. Ale i w tym przedruku należy jeszcze wyróżnić to, co

p. Parylak pokompilował, i to, co dosłownie z obcych dzieł przedrukował, nie podając źródła. I tak to, co mówi p. P. o „Gienezie (sic!) poematu“ (od str. 4—6) jest zlepkiem ustępów ze znanej monografii o Słowackim prof. Małeckiego a mianowicie z tomu I. str. 260. 261. 263—266. zakończenie zaś jest wzięte ze wstępu prozaicznego samego poety. W „Uwagach ogólnych“ (str. 33—41) a osobliwie „scena opowiadania“ jest przedrukiem części wstępu poety, na str. zaś 37 i 41 znajdujemy przedrukowane ustępy z Małeckiego tom. II. str. 77 (cytuję 1-sze wydanie).

Czuł zapewne prof. P. dobrze, że czegoś innego i lepszego nad to, co sam poeta lub Małecki powiedział — on powiedzieć nie może; ale ten dowód skromności wydawcy jest zarazem dowodem, że takiego obszernego aparatu objaśnień „Ojciec Zadżumionych“ już chyba nie potrzebuje. Czytaliśmy dotąd przez lat blisko 50 utwór ten bez objaśnień, i rozumieliśmy go najzupełniej; czytała go młodzież i uczyła się na pamięć a wystarczało, jej jedno lub drugie słowo objaśnienia nauczyciela. To też nie dziw, że objaśnienia prof. P. pod tekstem są w znacznej części tylko parafrazą słów tekstu, albo objaśnianiem rzeczy jasnych i zgoła objaśnienia nie potrzebujących. I tak wszystko to, co prof. P. pisze o dromedarze (str. 7) o ajerze (str. 8) o Libanie (str 9), o hyenie i wężu (str. 28) — to rzeczy znane każdemu uczniowi już klasy II. gimnazyalnej, a tem więcej uczniowi klas wyższych lub człowiekowi o średniem wykształceniu. Co do tekstu samego to sobie p. P. pozwala w nim poprawki; w. 180. brzmi u Słowackiego:

I naliczyliśmy ranków trzydzieści.

a prof. P. zmienia go na:

I naliczylim (!?) ranków *już* trzydzieści.

bez podstawy racyonalnej.

Mimo to tekst ma tę zaletę, że zaopatrzony liczbami co pięć, jak to się zwykło w podobnych wydaniach praktykować, a uwagi i objaśnienia są drobniejszymi od tekstu drukowane czcionkami.

Od „Maryi“ stanowi to niezaprzeczony postęp.

Nie możemy atoli nazwać postępem sposobu, w jaki prof. P. umieszcza uwagi nader obfite umieszczone przy Trenach. Jeżeli umieszczanie uwag pod tekstem z odnośnikami rozrywa natężenie umysłu czytelnika, to tem łacniej czynią to uwagi umieszczone razem po tekście, których dopiero szukać trzeba. Tekst zajmuje str. 13—38, objaśnienia od 39—94, zatem przeszło dwa razy tyle. Zapewne że „Treny“ potrzebują więcej uwag, niż „Marya“ lub „Ojciec Zadżumionych“ i to uwag językowych i rzeczowych, ale rzeczą wydawcy ograniczyć się do pewnego minimum. Prof. P. mając osobliwie w ostatnich latach tyle nagromadzonego do dzieł Kochanowskiego materyału, czerpiąc pełną ręką przedewszystkiem z wydania Felicyana i wyd. pomnikowego, przesolić musiał.

To co mówi we wstępie, „O życiu i pismach Jana Kochanowskiego“ i w „Uwagach ogólnych“ (od str. 95—103) jest zebrane treściwie, z uwzględnieniem najnowszej literatury, co stanowi znaczny postęp od poprzednich tomików, wraz z fomą stylistyczną, która tu jest gładsza i składniejsza.

Tekst oparł prof. P. na wydaniu pomnikowem, ale się go nie trzymał wiernie. I tak w Tr. I. w. 9 pisze *gniazdo* zam. *gniazdko*; Tr. II. w. 26 *kraj ów* zam. *krajów;* Tr. III. w. 11 *jedno* zam. *jeno*; Tr. VI. w. 21 *żałośliwe* zam. *żałościwe*; XII. w. 24 *stał* zam. *zstał*; Tr. XIII. w. 8 *żądze* zam. *żądzą*; Tr. XIV. w. 7 *mnie* zam. *mię*; Tr. XVI. w. 4 i 28 *ledwe* zam. *ledwie*; toż samo w Tr. XVII. w. 3; Tr. XIX. w. 7 *jako* zam. *jaka*. Szczególniej interpunkcya jest nader dowolnie przeprowadzona i najeżona wykrzyknikami.

Zaletę drugiego i trzeciego tomiku stanowią końcowe ustępy uwag „o języku“. Ale bo też prof. P. jest przedewszystkiem filologiem, a znać to nietylko w dawniejszych jego pracach nad Kochanowskim, ale i w niniejszych wydaniach. Do dokładnego atoli objaśnienia i to utworów *poetyckich* nie wystarczy być językoznawcą, trzeba być literatem i estetykiem, jakim prof. P. jest w najmniejszej mierze.

Dlaczego po „Maryi“ nastąpił „Ojciec Zadżumionych“, a po nim dlaczego „Treny“ i co po nich nastąpi, trudno i darmoby pytać; to tylko zaznaczyć wolno, że nie jestto wydawnictwo systematyczne, z góry obmyślane, że nie rządzi nim potrzeba czuć się dająca w szkole albo u publiczności, ale prosty przypadek, że prof. Parylak zajmował się dotąd więcej od innych autorów — Kochanowskim. *rz.*

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Z TEATRU.

Porę karnawałową w Krakowie możnaby także nazwać karnawałem artystów dramatycznych; w tym bowiem czasie odbywają się benefisa w teatrze, przynoszące dla publiczności nową sztukę, dla artystów zaś w zamian od publiczności oprócz „przeciągłych, grzmiących oklasków“ „ulewy kwiatów“ i banalnych pochwał przed i po przedstawieniu w urzędowej krytyce, i pewną pokaźną sumkę. W miarę sympatji artysty suma ta zmniejsza się lub powiększa; służy ona też w teatrze za probierz do mierzenia uznania zasług tego lub tej, a już co „wyprzedana orkiestra“ ta bezwątpienia stanowi najwyższy stopień ciepłoty i artyści słusznie chlubią się, gdy w orkiestrze zamiast puzonów, bębnów i trąb, kilka szeregów krzeseł zajmuje publiczność. Nie zawsze jednak zdarza się, aby takie uroczyste benefisowe przedstawienie uważać można za karnawał dla publiczności i artysty; przeciwnie trafia się, że jest to raczej nawał kar na publiczność, nie wiadomo za jakie winy sprowadzony, bo jeżeli sztuka okaże się lichą i niemożliwą już w czytaniu, po co ją wprowadzać na scenę i torturować nią publiczność przez kilka godzin? Prawda, w innych miastach benefisowe przedstawienie służy zwykle za popis dla artysty; wybiera się najlepszą cząstkę swego repertuaru, i z tą staje się przed publicznością; u nas może taki popis nie zapełniłby dostatecznie kasy i ten to powód zapewne, że artyści biorą publiczność czasem na kawał, mówiąc językiem zakulisowym, i każą nam się weselić na „Oszołomionych“ lub „Chrzcinach Maciusia.“ Doprawdy, szkoda zachodu i szkoda czasem dość sympatycznego nazwiska artysty, pod którego egidą odbywa się takie torturowanie publiczności. Czyż nie lepiej wówczas nawet może z pewną stratą wyszukać z dawnego repertuaru rzecz dobrą, chociaż znaną i wznowić ją? Przykłady przekonały, że artyści źle na takich wznowieniach w roku ubiegłym nie wyszli. Tak „Halszka z Ostroga“ (benefis p. Kałużyńskiej lub „Mieszczanie na prowincyi“ (benefis pana Frenkla) mogły przekonać, że publiczność umie cenić i dobry smak artysty w wyborze sztuki i jego talent i pewną powagę nie zniżającą się zbytnio do łapania na nowość, jaka ona tam jest sobie, byle kąsę zapełnić. Nie wykluczamy bynajmniej chęci jak najobfitszego zysku z benefisu; artyści dramatyczni stanowczo utrzymują, że potrzebują więcej jak inni śmiertelnicy; oklaski, pochwały, kwiaty upajają chwilowo, dawniej stanowiły czasem jedyny tylko cel zawodu scenicznego, dziś: mam talent, zdolność, rutynę, pewność siebie, chcę z tego wyciągnąć jak najwięcej! Płać zatem szanowna publiczności i jak mój benefis tłocz się przy kasie, nie pytając jaka sztuka, bo ja sam niewiele wiem o niej, tyle tylko, że przedstawioną będzie „po raz pierwszy“. Tych kilka uwag nasunął nam właśnie ów pospolity, wcale nie artystyczny zwyczaj benefisowy raczenia publiczności bezmyślnemi mieruotami, aby tylko „po raz pierwszy.“ Na pochwałę powiedzieć możemy, że w tym sezonie publiczność mniej bywa narażona na podobne eksperymenta benefisowe jak w roku ubiegłym. Z wyjątkiem farsy niesmacznej „Chrzciny Maciusia“ danej na benefis p. Wojnowskiej, jeszcze można przetrawić inne utwory, pomimo, że nie są one nawet gwiazdkami w literaturze dramatycznej i prędko zgasną jako sztuki bez większej wartości, ale z pewnemi zaletami. Idąc w chronologicznym porządku zaznaczyć nam wypada benefis p. Frenkla. na którym przedstawiono „Porwanie Sabinek“ Schöntana, w przekładzie niedość zręcznym. Talent p. Frenkla nie mógł znaleść lepszego pola do ubawienia publiczności, jak właśnie w roli wybornej komicznej postaci dyrektora teatru, z tysiącem najzabawniejszych kłopotów i sytuacyj, nie zawsze prawdopodobnych, ale pobudzających do śmiechu i wesołości. Sztuka sama obiegła wszystkie pierwszorzędne sceny niemieckie i istotnie w rzędzie ciężkich, trywialnych sztuk niemieckich, wyróżnia się pewną oryginalnością, chociaż i jej nie brak zapachu kuchni, jak wogóle wszystkim komedyom niemieckim. Zdaje się, że sam nawet autor zgodzi się na nasze zdanie w tym względzie, bo i przy pisaniu „Porwania Sabinek“ asystuje ciągle kucharka a egzemplarz oplamiono kawą czy rosołem. Komedye niemieckie czuć też zawsze jakąś kuchenną tłustością, wręcz przeciwny stosunek do tłustości buduarowej komedji francuzkich. „Porwanie Sabinek“ pomimo tej tłustości może się podobać, jest tu dużo życia i wesołości pospolitej a przedewszystkiem są owe kłopoty nieszczęśliwego dyrektora teatru, opowiadającego ciągle o zakulisowych sprawach, a to stanowi zawsze niemały urok dla szerszej publiczności, lubiącej uchylać zasłony za kulisy. Dodajmyż, że na powodzenie „Porwania Sabinek“ złożyła się także harmonijna i dobra gra artystów, którzy nie potrzebując się wysilać ani na psychologiczne odgadywanie karykaturowo kreślonych postaci komedyi, ani na cieniowanie dyalogów, zbyt prozaicznych, lekką i zręczną grą ubawili publiczność i wywołali oklaski. W tym względzie najlepiej zasłużyli się pp. Frenkel, Arwin, Stępowski, oraz pp. Sułkowska, Wolska i Pysznik. Był to ensamble bardzo odpowiedni i ruchliwy, w którym należy się także wzmianka i p. Konopce w mniejszej roli, odegranej zręcznie i gładko.— Benefis p. Wojnowskiej zaznaczamy jedynie ze względu na wyróżniające stanowisko jakie artystka ta zajmuje na scenie krakowskiej, prosząc ją, aby „Chrzciny“ na drugi raz odbyła w domu, bo pomimo pewnej sympatyi dla zasłużonej „kumy“, publiczność nie zechce być świadkiem kłopotów rodziców nowonarodzonego.

Wybornie wyszedł p. Sobiesław. Po niefortunnym zeszłorocznym benefisie „Oszołomionych“, w tym roku dopisało mu wszystko. I dwie sztuki

„Księżna Martin“ i „Julia“ i pierwszy występ p. Hoffmann po dłuższej przerwie, spowodowały, że teatr przepełnił się aż do „wysprzedania orkiestry“ a publiczność jakoś niezwykle była usposobioną i zainteresowaną, co zwłaszcza podczas przedstawienia „Julii“ znać było w całym teatrze. Dawno już na scenie nie rozegrał się dramat tak szczery, pełen prostoty a porywający jakiemś wyższem artyzmem nietylko sztuki, lecz i ludzi, nakreślonych z wielką prawdą życiową a jednak tak niezwyczajnych. Tylko Feuillet może działać takie cuda, aby tematem tak odwiecznym i wyzyskanym jak wiarołomstwo, usunięciem wszelkich sytuacyj i efektów scenicznych i postawieniem tylko trojga osób: męża, żony i trzeciej osoby, zainteresować tak żywo publiczność i stworzyć dramat szerokie, głęboki wywierający wrażenie. Dramat pisany przed dwudziestu laty; od tego czasu ileż to utworów na ten temat kreślonych przesunęło się przed oczami widzów, a jesteśmy pewni, że gdyby który wznowiono nawet z tych, które doznały dużego powodzenia, przeszedłby on dziś przez scenę bez rozgłosu i cicho, bez zajęcia i bez uwagi. Bo paradoks pozostanie zawsze paradoksem, ogień bengalski i fajerwerki spłoną, nie pozostawiając nic po sobie, prócz dymu i swędu, nieśmiertelną jest tylko prawda i życie bez sztucznych i wyszukanych efektów. Tem właśnie odznacza się utwór Feuilleta i ta prawda życia zapewnia mu niezawodnie dłuższe powodzenie na scenie, niż wielu jego innym późniejszym dramatom, pisanym już tendencyjnie. „Julia“ nie jest bohaterką pozującą na męczeństwo; zdradzana systematycznie przez męża, nie szukającego w życiu nagrody w dokładnem spełnianiu swoich obowiązków i dość lekkomyślnie przekraczającego granicę moralności, bezwiednie i mimo może woli z przyjaźni przechodzi w inne uczucie dla pana Turgyn, a chwila ta i przemiana w duszy dwojga tych osób stanowi właśnie główne tło obrazu, malowanego tak delikatnemi rysami i tak umiejętnie cieniowanego, że widz zapomina o scenie, kinkietach, a patrzy na rzeczywistość. Autor nie mówi nic, grają tylko jego bohaterowie, oni działają, ich uczucia ścierają się między sobą i tem sprawę wygrywa. Nic trudniejszego jak odegranie takiego dramatu; nie wystarczą tu ani rutyna, ani pewność siebie, ani sztuka aktorska, rozporządzająca przeróżnemi środkami, któremi radzić sobie można w innych razach. To turniej, z którego albo trzeba wyjść zwycięzko, albo upaść zupełnie, wszelkie półśrodki nie doprowadzą do niczego. Feuillet ma swój odrębny styl, którego naruszyć bezkarnie nie można. Tem większa zasługa, im artyści lepiej to pojmują. Powiedzmy prawdę, że przedstawienie „Julii“ nietylko granem było w stylu Feuilleta, ale posiadało cechę rzeczywiście teatru wyższego i nie obracającego się wiecznie w kole trywialnego i pospolitego aktorstwa, w którem szablonem i utartą rutyną zastępuje się wszystko. To naturalnie wielka zasługa reżyseryi, która widocznie dramat Feuilleta starała się przedstawić jak najdokładniej i bez szwanku. Oby jak najwięcej takich przedstawień... Dawno już żadna rola nie nadawała się tak wybornie do natury talentu p. Hoffmann jak właśnie rola Julii. Artystka, która nie szuka nigdy efektów, znalazła się tu w swym żywiole i grała prześlicznie z temi zaletami swego talentu, które niestety, coraz rzadziej, a właściwie mówiąc zupełnie zatracają się na scenie krakowskiej. Mówimy tu o grze fizyognomii, o cieniowaniu głosu, o wykwintnej a niewymuszonej pozie, o porzuceniu tej ciągłej jednostajności, raz nabytej wprawy, która zasadza się na jednym i tym samym stereotypowym uśmiechu, wogóle o tej monotonności w przedstawieniu danej postaci, którą widzimy u wszystkich bez wyjątku prawie artystek, a która nie jest w stanie wyprowadzić nawet talentu na szerszy horyzont sztuki. Zabijającą jest formułka w dziedzinie sztuki. Nasi artyści mają swoje formułki a przecież wzór z p. Hoffmann powinien ich szybko z tej manii wyleczyć. Grą p. Hoffmann nietylko może rozkoszować się publiczność, ale i winna ona być szkołą dla jej teatralnego otoczenia. Wracając do przedstawienia „Julii“ godzi się zaznaczyć oprócz ogólnego dobrego pojęcia całego dramatu i pojedynczą grę artystów. Wszystkim należy się zaszczytne uznanie. Panna Kałużyńska małą swą rolę wypełniła szczerością uczucia i była nawet więcej naturalną jak zwykle. Artystka to bez zaprzeczenia bardzo utalentowana i mająca przyszłość przed sobą. Gdyby chciała tylko pracować nad ruchami i głosem którym nie zawsze dobrze włada. Krzyk nie jest oznaką dramatycznej siły, a nadużywanie głosu nie jest patentem na bohaterkę. Panna Kałużyńska ma wcale ładny organ, ale łatwo zepsuć go może, jeżeli bezmyślnie wydobywać z niego zechce dramatyczne akcenta. Uwagę tę piszemy szczególniej z okazyi roli Azy w „Chacie za wsią“ a piszemy ją ze względu na artystkę, którą pragnęlibyśmy jak najprędzej widzieć na drodze rzeczywistego postępu i stanowiska. Miernoty nie zwracają uwagi nigdy i zostawia się je w spokoju, kto ma talent i warunki rozwoju od tego żądać należy więcej. Oprócz p. Hoffmann i p. Kałużyńskiej grali także w „Julii“ pp. Rygier i Zapałowicz. Zdawałoby się, że usposobienia obu tych artystów najmniej nadadzą się do oddania Feuilletowskich postaci. P. Rygier posiadający w swych zdolnościach pewną zamaszystość, która lepiej odpowiada rolom kreślonym z grubsza i jaskrawiej, umiał miarkować wcale dobrze swój zapęd po za granicą lepszego i dystyngowanego artyzmu i grał szlachetnie, z poczuciem. P. Zapałowicz znowu bardzo dobry „Janko“ z „Chaty za wsią“, Osip w „Daniszewach“ itd. natrafił na właściwy ton sztuki i nie wykroczył ani na chwilę z raz dobrze obranego stanowiska. Tylko pracą można osiągnąć tak korzystne rezultaty, a tę zawsze podnieść należy w grze p. Zapałowicza.

Bardzo dobrze zrobiła p. Sułkowska, że idąc przykładem niektórych swoich kolegów zeszłorocznych wystąpiła na swój benefis z rzeczą wznowioną a dobrą. Z panią George Sand przyjemnie się zobaczyć, posiada ona zawsze swój urok, którego ani czas, ani zmienne usposobienia zatrzeć nie zdołają. Więc też i „Margrabia Villemer“ mile został powitany przez publiczność, która jakkolwiek w żywej pamięci chowa jeszcze wspomnienia z gry p. Modrzejewskiej, Bendy i Ładnowskiego nie poskąpiła oklasków dla pp. Sułkowskiej, Sobiesława i Zapałowicza; jeżeli wyraz „przyzwoicie“ przyjętym został w żargonie teatralnym, to Margraba de Villemer został odegranym najzupełniej przyzwoicie, starannie i gładko. A przecież ze wspomnieniami nieraz ciężko walczyć. Tym razem wspomnień nie poskrzywdzono, za co oprócz wyżej już wymienionych artystów należy pochwalić także pp. Pysznik i Wolską.

Pan Arwin znowu nie zapominając, że to karnawał, postanowił uraczyć publiczność na swój benefis kieliszkiem szampana w postaci „Podróży na Kaukaz.“ Jaka marka, mniejsza o to, to niezawodnie, że nie „Monopol“ lecz szampan mocno podrabiany, przez mniej znaną spółkę. Ale co to szkodzi; szampan szumiał, kipiał, publiczność więc ze względu na benefisanta, któremu dużo śmiechu zawdzięcza i ze względu, że to karnawał, kielich wyliła, bynajmniej nie z goryczą, ale wesoło, śmiejąc się i żywo oklaskując arcyzabawną grę pp. Frenkla i Arwina.

Dla dokładności sprawozdania wspominamy o wznowieniu „Świata nudów“ z znakomitą grą pani Hoffmann w roli księżny de Reville i bardzo trafnie odegraną po raz pierwszy przez pannę Barszczewską rolą angielki, dalej o „Jacusiu“ Lubowskiego, wreszcie o kilku ludowych farsach niedzielnych, w których prym dzierżył p. Solski, jeden z najprzyjemniejszych artystów w tym rodzaju, jakich widzieć można na scenach polskich.

Teodor K.

Wystawa projektów na pomnik Mickiewicza.

Pisma nasze przepełnione są sprawozdaniami z wystawy projektów konkursowych na pomnik Mickiewicza. Wadą tych sprawozdań jest bezwzględność w wydawaniu sądów. Każdy sprawozdawca przemawia za jednym projektem najwięcej odpowiadającym jego poglądom estetycznym, inne zaś w czambuł potępia. Gdyby te poglądy miały być wyrazem opinji, pokazałoby się, iż opinji całkiem niema. Sprawozdawcy zamiast ułatwiać pracę komitetowi oceniającemu przez objektywne zaznajamianie publiczności z projektami, utrudniają mu tylko zadanie niepowściągliwością pióra, ferowaniem stanowczych wyroków, przesadą w pochwałach, lub lekceważeniem nadesłanych na konkurs prac artystycznych.

Za tydzień rezultat konkursu będzie wiadomy. Nie uprzedzając zdania jury, poprzestaniemy na wyliczeniu tych projektów, które zwracają uwagę ogólną i pomiędzy któremi bez najmniejszej wątpliwości wybierać przyjdzie sędziom konkursowym. A więc:

Nr. 2. Godło: *Marjar*. W projekcie tym znać artystyczne dłuto. Festony i wieńce rzucone u dołu górnej podstawy są bardzo smacznym pomysłem. Siedzącym figurom Konrada, Grażyny, Zosi i Więźnia jest nieco zaciasno.

Nr. 8. Godło: *Z pod jego debu*. Projekt najwięcej bogaty w ornamentyce. Górny okrągły piedestał otoczony znakomicie zaznaczoną płaskorzeźbą, przedstawiającą polonez z Pana Tadeusza. Dolny piedestał pokryty grupami do ustępów z utworów Mickiewicza. Wykonanie ich niezawsze dość jasno wypowiada myśl poety.

Nr. 11. Godło: *Odrodzenie.* Całość imponujące sprawia wrażenie. Artysta przeprowadził swój projekt w stylu klassycznym do tego stopnia, iż nawet figurę Mickiewicza odział w fałdy togi, a na skronie włożył mu wieniec wawrzynowy. Nic projektowi zarzucić nie byłoby można, gdyby to był pomnik dla rzymskiego tryumfatora, prawodawcy.

Nr. 18. Godło: *Kocham was me dzieci wieszcze.* Jestto właściwie pomnik „Ody do młodości“, którą ustawił artysta na wierzchu wysokiej kolumny. Mickiewicz u dołu na wyskoku przodkowym improwizuje. Projekt bardzo ładny, ale Mickiewicz jest na nim na drugim planie. Jako pomnik dla pewnej idei, na pamiątkę zwycięztw oręża itp. byłby znacznie odpowiedniejszy.

Nr. 22. Godło: *Wieszczowi naród*. Projekt ten odznacza się bogatą ornamentyką i dobrze pomyślanemi grupami.

Nr. 24. Godło: *Sursum corda.* Część architektoniczna jedna z najlepszych. Całość spokojna, poważna, lecz mało ozdobna.

Nr. 28. Godło: *Myśli moje, gwiazdy moje* itd. Bardzo ładne figury: Sławy, Niemna, Wilji i Wajdeloty. Ornamentyka dobrze przeprowadzona. Całość poważna i jednolita. Małe zmiany w części architektonicznej byłyby pożądane.

Nr. 29. Godło: *I ten szczęśliwy kto padł wśród zawodu.* U dołu monumentu śliczna w pomyśle grupa złożona z niewiasty wskazującej chłopcu napis: Czcijcie największego poetę. Całość wykonana z wprawą artystyczną. Projekt ten szpeci niesmaczny wyższy piedestał.

Oprócz wyliczonych wymienić jeszcze należy jako lepsze: Nr. 5. *Astra,* Nr. 6. *Świteź,* Nr. 9. *Zaścianek,* Nr. 13. *Razem młodzi przyjaciele* (projekt dobrze wykonany, ale całość zbyt pospolita), Nr. 17. *Wiara, nadzieja i miłość,* Nr. 20. *Trwalszy niż my* itd. (śliczne grupy rodzajowe, całość pozbawiona jednak monumentalności), Nr. 21. *Dzieckiem w kolebce* itd. (rozwinięcie w grupach Ody do młodości—nieszczęśliwie pomyślana figura Mickiewicza), Nr. 26. *Nazywam się miljon,* Nr. 30. *Czterdzieści cztery,* (najlepiej modelowana głowa).

Na tem kończymy naszą luźną wzmiankę. Nie zwracaliśmy uwagi na głowę Mickiewicza, z małym bowiem wyjątkiem artyści tylko szkicowali. Drobiazgowe wykończenie nie mogło mieć celu w tak drobnych rozmiarach. Nie chcemy także czynić artystów odpowiedzialnymi za ruch figury, który bez wyjątku prawie na wszystkich projektach jest rażący. Nagrodzony artysta, jeżeli otrzyma wykonanie pomnika, łatwo się będzie mógł pod tym względem zastosować do życzenia ogółu, który piękność postaci Mickiewicza upatruje w naturalności i prostocie ruchów, a nie w jakichś pozach deklamatorów lub prelegentów.

Salon artystyczny p. Biasiona.

Zgromadziwszy przez lat kilka znaczną ilość dzieł polskiego pendzla otworzył dnia 1 Lutego w naszem mieście salon artystyczny p. Alfred Biasion, ruchliwy przedsiębiorca i przemysłowiec. Salony takie za granicą zdobyły sobie już dawno prawo obywatelstwa, a przykład Warszawy posiadającej je od lat kilku wskazuje, iż i nasz grunt jest im przyjazny. Kraków pod pewnym względem posiada nawet lepsze warunki od Warszawy, tu bowiem przebywa naczelny wódz armji malarskiej i najznaczniejsza część jego podkomendnych. Artystów nie brak i mają wielką ochotę sprzedawać, czy się jednak znajdą nabywcy? — oto pytanie, na które da najlepszą odpowiedź salon p. Biasiona.

Najpiękniejszą jego ozdobą są już znane z wystaw obrazy Malczewskiego, Kossaka, Fałata, Pruszkowskiego, Kotsisa, Koniuszki itd. Z rzeczy nowych dla naszej publiczności wymienić przedewszystkiem należy wielki szkic Hipolita Lipińskiego do „targu przedświątecznego" na rynku krakowskim. Widzieliśmy już niegdyś to płótno w pracowni zgasłego wcześnie artysty i obiecywaliśmy sobie po niem wiele. Dobrze obrane tło, wiele ruchu, powietrza i życia — oto były zalety odrazu w oczy się rzucające. Gdyby można ze szkicu sądzić o obrazie, straciła nasza sztuka dzieło wysokiej wartości. — Drugiem znaczniejszych rozmiarów płótnem jest „Walgierz Wdały" p. Strażyńskiego. Romantyczna historja pana na Tyńcu i jego niewiernej małżonki znalazła utalentowanego illustratora. Z nazwiskiem p. Strażyńskiego pierwszy raz się spotykamy na publicznej wystawie i spotkanie to z przyjemnością zapisujemy. Zarzucilibyśmy obrazowi przedewszystkiem uchybienia perspektywiczne, dalej zbytni realizm w malowaniu ciała, zwłaszcza nóg kobiecych, ale musimy oddać sprawiedliwość kompozycji, a głównie wytrawnemu malowaniu. Martwa natura najlepiej się prezentuje na obrazie p. S. — zwrócimy uwagę choćby na zasłonę okrywającą postać kobiecą, lub na dywan rozłożony na stoliku. — Kilka zgrabnych obrazków p. T. Ajdukiewicza są również niemałą ozdobą salonu p. Biasiona, a studjum tego artysty, stary tyrolczyk, jest prześliczne.—Studja męzkie p. Żukotyńskiego są również bardzo dobrze malowane. — Do wdzięcznych obrazków należą małe utwory pana Bieszczada tworzone na postawie zwyczajów ludowych. Duży obraz tego artysty: „Rozdzielanie ubogim żywności" znany już jest z wystawy krakowskiego Towarzystwa. — Akwarelle p. Tondosa, oparte na motywach architektonicznych, wskazują wielki postęp w technice tego niepospolitego akwarellisty. — Kilka notat ołówkowych Matejki (typy męzkie i kobiece) przyciągają rozgłosem imienia naszego mistrza. — Dalej mamy efektowne główki p. Stachiewicza, studjum Herncisza (głowa kobiety), malowania na porcelanie pp. Marylli i Heli, dobrą kopią z portretu Kochanowskiego Matejki, wykonany przez pannę S. oraz wiele większych i mniejszych płócien, a między niemi część szkiców i studjów. Ogółem wystawa obejmuje przeszło sto utworów polskiego pendzla, a urządzenie jej pod względem komfortu i smaku nic nie zostawia do życzenia.

Kalejdoskop warszawski.

I.

Co mi to za kalejdoskop, w którym wszystkie prawie barwy są albo szare albo ciemne!.. a jednak tak jest; gdy wezwany przez was do czynienia tych obrachunków, uważnie zastanowiłem się nad naszem życiem, biedą, która niebawem stanie się przysłowiową a jeszcze prędzej srodze nam za skórę zalezie, to mimowoli straciłem chęć do przedstawiania tak smutnych obrazów. Ale, co począć, snuć trzeba nitkę z tego kłębka, co choć czarną ma bawełnę, jednak czasem tu i owdzie ukaże pasemko jaśniejsze.

Zacznijmy od niego, zostawiając narzekania na później.

Mieliśmy tu przez czas niejaki dwie nowości, które tak wyłącznie opanowały uwagę publiczności, że o niczem innem nie mówiono, składając zarazem świadectwo, jakąś małomiasteczkowością grzeszy czasem nasza Warszawa. Modrzejewska i Brandes lub naodwrót, w liczbie mnogiej i pojedyńczej, w możliwych przypadkach i odmianach na ustach wszystkich — oto streszczenie działalności ogólnej za ostatnich kilka tygodni. Jeżeli do tego dołączymy jeszcze karnawał i zabawy, które w roku bieżącym robiły wrażenie smutne, bo na tle ekonomicznych niepowodzeń przemysłu i rolnictwa, to nie dziwnem się wyda, że otworzenie nocnych przytułków przeszło bez długich gadań (jak na filantropię przystało), że rozesłanie kwestyonaryuszów Tow. pop. przemysłu i handlu raz jeszcze przekonały nas, jak obojętnie ogół przyjmuje jakieś środki zaradcze przeciw biedzie, że wreszcie nawet, w sferze sztuki, przeszedł bez wrażenia konkurs T. Z. Szt. pięk. i przyjazd potęgi w świecie pianistów, jak Hans Bülow. Cóż począć?.. iść na odczyt Brandesa lub występ Modrzejewskiej, tak, tylko że na nieszczęście w pierwszym razie trzeba rozumieć po francuzku, a w drugim mieć silne pięście, mocne żebra i dużo pieniędzy na opłacenie handlarzy, którzy jedni zdają się urągać dyrekcyi, poskramiającej wszystkich i wszystko... nawet sztukę.

Obawiałem się, by mnie ta krótka wzmianka o teatrze nie zachęciła do szerszych nad tym przedmiotem rozmyślań, a obawiałem się o to, raz ze względu, że czyniłbym tym sposobem konkurencyą naszym specyalistom teatralnym, którzy „zagłębiają" się w poważnych studyach nad kwestyą czy i o ile p. Czaki sprostała trudnościom danej roli, lub też czy p. Marcello powściąga swój „temperament", powtóre, że jestem zdania, iż przepisywanie jakichkolwiek rad dzisiejszemu zarządowi jest zmarnowaniem atramentu i papieru. Przekonaliśmy się dowodnie, że mimo wszelkich nawoływań prasy, nic nie zyskała na szybkości manipulacya wystawiania sztuk i obsadzania ról. Jak dawniej, tak i dziś na nowość jakąś czekać musimy bardzo długo, a gdy ją wreszcie ujrzymy, to protekcyjny system rozdawnictwa ról wychodzi dopiero na jaw w postaci nieudolnych borykań, jakie staczać muszą miernoty aktorskie z trudnościami kreacyi. Zamiast więc biadać nad tem, co nie prędko i nie na skutek żądań prasy nastąpić może w teatrze naszym, zamiast debatowań medycznych czy należy balet uważać za członek chory warsz. świątyni sztuki, czy też nie i, czy, co za tem idzie, należy go amputować, czy wzmacniać, zamiast utyskiwania nad tem, że p. Marcello „nie powściągnęła dotąd swego temperamentu", przechodzę nad kwestyą teatralną do... sali ratuszowej i konstatuję fakt, iż dawno (a może nigdy) nie słyszano tam tak bystrych poglądów, z jakiemi w ciągu trzech odczytów zapoznał warszawian Jerzy Brandes.

Nazwisko duńskiego uczonego, nie jest obcem naszej publiczności. Staraniem redakcyi „Prawdy" poznajomiono nas z jego „Głównemi prądami lit. w XIX. w." a jeden z odczytów (Romantyzm we Francyi) był niejako fragmentem piątego tomu wspomnianego dzieła

Ogólnikowo zaznaczywszy, że treścią dwóch ostatnich prelekcyj była charakterystyka epoki romantycznej w Francyi, główniejszych rycerzy z pod tego sztandaru W. Hugo, Museta, Dumasa, Merimego, pani Sand zanotować wypada, iż pierwszy odczyt o „Życiu skandynawskiem i literaturze" wysoce zajął nas, dla wielu analogij, jakie w rozwoju umysłowego życia Duńczyków z naszem spotykamy. I w Danii i u nas, po klęskach politycznych gorliwiej zabrano się do pracy, do tworzenia, do pokrzepienia sił moralnych narodu, wiedząc i wierząc, że stojąc w rzędzie ludów posiadających cywilizacyą, naród posłuje sam sobie w parlamencie ludzkości.

Na półkach księgarskich pustki. Nowa książka (nie do nabożeństwa) jest rzadkim ptakiem (zwłaszcza oryginalna), który nie prędko znajdzie nabywcę. Przyczyn takiego zastoju upatrywać po trosze w naszej znanej apatyi do czytania autorów oryginalnych, potrosze z powodu „ciężkich czasów" ale najwięcej, iż mnóstwo istniejących pism dla przynęty czytelników drukuje nieraz dwie tłumaczone powieści i jednę oryginalną; ztąd to konkurencya dla książek w dziale belletrystyki utrudniona. O poważniejszych niema co i mówić, oddawna narzekamy na brak nowości w tym kierunku i jak

gorliwie nad tem biadamy, tak równie zgodnie... nie kupujemy. gdy jakiemu odważnemu wydawcy przyjdzie ochota spróbować szczęścia. Obecnie do najodważniejszych pod tym względem należy „spółka nakładowa“ pod patronatem „Prawdy“ zostająca, która wprawdzie nie zrobiła interesu na wydaniu „Zasad Etyki“ Spencera, ale zamierza to sobie powetować na „Światełku“ (książka dla dzieci, w której napisaniu wzięli udział literaci wszystkich obozów) i piątym tomie „Prądów“ Brandesa.

Obyż czytano wreszcie te książki, bo gorączkowość cechująca nasz wiek, odbija się i w lekturze; dużych powieści nie lubią, jedynie małe nowelki i to... z sympatycznemi tematami. Więc też za gustem publiczności idąc, pisarze nasi chętnie uprawiają ten od niedawna na nowo zaaklimatyzowany rodzaj powieści. Może niedługo poświęcimy naszym nowellistom kilka szerszych uwag, obecnie powitać należy nową w tym dziale współpracowniczkę p. W. Z. Kościałkowską, która obdarzyła nas całym tomikiem produkcyj swego pióra pod ogólnym tytułem, „W półcieniu“. Smętna nuta przeważa u p. K.; zawiedzione nadzieje, złamane życie, niedola ludzka, oto najulubieńszy motyw młodej autorki, zdradzającej wiele daru obserwacyjnego i sporą dozę wprawy pisarskiej; jeżeli jeszcze p. K. zdoła na przyszłość uniknąć zbyt częstego rozumowania w opowiadaniu, a zastąpi to akcyą, wówczas niechybnie zdobędzie wybitne miejsce w szeregu naszych piszących kobiet. Do najudatniejszych w zbiorku, chociaż nie bez usterek, zaliczyć trzeba „Opowiadanie lekarza“ o „zgranym“.

A kiedy już witamy kobietę-autorkę to równie chętnie to czynimy z kompozytorką, która po raz pierwszy debiutując w tym charakterze korzystnie się zaprezentowała. Mamy tu na myśli p Ludmiłę Mikorską (Choińską), której operetka „Zuch dziewczyna“, przedstawiona w małym teatrze korzystne na słuchaczach wywarła wrażenie. Jest to nietylko u nas pierwsza kobieta, probująca sił swoich na polu kompozytorstwa operowego. „Zuch dziewczyna“ ma libretto osnute na tle komedji Zalewskiego: Spudłowali. Znawcy przyznają kompozytorce zupełną „wiedzę“ muzyczną, tj. znajomość harmoniji, kontrapunktu itd. Partycja odznacza się świeżością melodji a duet w I. akcie, walc i piękny tercet: Ave Maria posiadają niepospolite piękności. Po tym pierwszym występie p. M. dużo sobie wróżyć można. Niechże ta „Zuch-kompozytorka“ nie ustaje w pracy i nadal poświęca się artystycznemu zawodowi.

Wspomniawszy wyżej ogólnikowo o wzroście naszej prasy, musimy zanotować, iż w niedługim czasie powitamy dwa jeszcze pisma, z których jedno oczekuje stosownej do wyjścia „Chwili“ a drugie nie może się doczekać uśmiechu „Fortuny.“

Tak głosi fama!..

Ale, Warszawianki dowiedziawszy się o konkursie lwowskim, mającym nagradzać piękności, dziwią się, że ktoś może przypuścić, iż znajdzie gdziekolwiek i kiedykolwiek kobieta, niegodna pierwszej nagrody.

Może to i prawda?....

Józef Kęs.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— *Dr. Adam Asnyk*, usunąwszy się od zatrudnień dziennikarskich, pracuje nad monografią o Szymonowiczu.

— Znakomity komedjopisarz *J. Bliziński* ukończył poważną pracę, będącą dopełnieniem Lindego. Jak się dowiadujemy z pisanego do nas listu praca objęłaby trzy grube tomy. Wyrazów pominiętych w Lindem jest do 10.000. Sama litera A. przyniosła 320 nowych wyrazów. Wyrazy objaśnione są przykładami w ten sposób i w tych rozmiarach jak u Lindego. Wykonanie tej poważnej pracy wymagało kilkunastu lat czasu.

— „Epizod Rakoczowy w dziejach Augusta II.“ taki jest tytuł pracy *Kazimierza Jarochowskiego*, pomieszczonej w lwowskim „Przewodniku.“ Nie potrzeba dodawać, że praca znakomitego historyka jest wysokiej wartości zwłaszcza, iż czasy Augusta II. nie mają lepszego od niego badacza.

— „Nieznany“ wiersz A. E. Odyńca, pomieszczony w „Przeglądzie Polskim“ znany już był od kilku miesięcy czytelnikom „Gazety Narodowej.“

— W marcu wyjdzie z druku w Petersburgu monografia pana *Zygmunta Librowicza*, w języku rosyjskim p. t. „Polscy prawnicy w Petersburgu. — Historya katedry prawa Polskiego w uniwersytecie Petersburgskim.“

— *Pani Eudoksya Rusakowa* napisała studjum literackie p. t. „Mołodaja Polsza“ (Młoda Polska), które wyjdzie jesienią nakładem Frona w Petersburgu.

Pod nazwą „Młodej Polski“, autorka zgrupowała nowszych pisarzów: Świętochowskiego, Sienkiewicza, Prusa, Ludowskiego, Zalewskiego, Orzeszkokową, Bobrzyńskiego, Chmielowskiego i kilku innych.

— *Miss Biggs* przetłomaczyła na język angielski „Pana Tadeusza“. „Kłosy“ wezwały ogół do składania prenumeraty na wydanie przekładu, aby je w ten sposób umożliwić. Przeciw temu podniosły się głosy, do których i my się przyłączamy, lubo z innego punktu widzenia. Tłumaczenie jest albo złe, albo dobre. Jeżeli złe niema co wydawać, jeżeli dobre znajdzie pokup, tak jak go znajdują wszelkie arcydzieła dobrze tłomaczone na obce języki. Przykładem niech będzie ten sam „Pan Tadeusz“ w przekładzie niemieckim *Lipinera*. Ani tłomacz, ani nakładca źle na nim nie wyszli.

Z dziedziny malarstwa, muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— Niezupełnem było nasze sprawozdanie teatralne gdybyśmy nie zanotowali, iż p. Modrzejewska raz jeszcze ukazała się na scenie naszej i to na cel filantropijny. Artystka przybyła w tym celu z Warszawy, gdzie świeżo ukończyła szereg występów gościnnych. Krytyka miejscowa a także i nasz stały sprawozdawca teatralny podówczas w Warszawie obecny, komunikują nam, iż najwięcej entuzyazmu wzbudziła p. M. w roli „Odetty,“ która dotąd na scenie warszawskiej nie miała takiej przedstawicielki. Łatając niezawsze prawdziwe zachcenia autorskie z psychologiczną stroną charakteru „Odetty“ utrzymała artystka w grze swojej wszystkie subtelne odcienia, w jakie obfituje kreacya Sardou, nie tracąc żadnej sposobności do okazania swego artyzmu i nawet talentu reżyserskiego; odmienna od poprzedniej scenizacya sztuki o wiele podnosi wrażenie.

— W ostatnim Nrze wybornej czeskiej illustracji: „Zlata Praha“ znajdujemy artystycznie wykonany portret *Odyńca* i drzeworyt z obrazu *Kowalskiego* „Polowanie na wilki“.

— Sprawozdawca paryzki „Mosk. Wied.“ jak podaje „Kraj“ wyraża się z wielkiemi pochwałami o najnowszym obrazie Matejki: „Poselstwo polskie przed królem francuzkim, proszące o rękę córki dla swego monarchy“. Mosk. Wied. się nie dziwimy, ale że „Kraj“ nie spostrzegł się i głośny obraz Wacława Brozika przypisał Matejce, to już nieco dziwniejsze.

— Teatr na Wiedeniu przygotowuje świetną wystawę do sztuki *Jokaja* p. t. „Złoty człowiek“, którą sam autor przerobił ze swego romansu pod tymże samym tytułem. Pierwsze przedstawienie odbędzie się dnia 28 b. m. w Wiedniu.

— *„Konrad Wallenrod“* nowa opera z muzyką Władysława Żeleńskiego będzie wystawioną w dniu 26 Lutego pierwszy raz we Lwowie.

Libretto do powyższej opery podług scenaryusza p. Zygmunta Sarneckiego, skreślił śp. Władysław Noskowski. Jest ono podzielone na cztery akty (akt 4-ty w dwóch odsłonach). Akt 1-szy dzieje się na Litwie, drugi w Malborgu podczas obioru wielkiego mistrza, trzeci odtwarza ucztę przed wyprawą w litewskie puszcze, czwarty przedstawia scenę sądu na Konrada, oraz śmierć jego przy wieży Aldony.

Próbami kierował i na pierwszych przedstawieniach orkiestrę prowadzić będzie sam kompozytor.

— W rzędzie nowoczesnych dramaturgów niemieckich wyróżnia się korzystnie *Ernst v. Vildenbruch*; dramaty jego, grywane na scenach niemieckich cieszą się zasłużonem powodzeniem. Jeden z nich poznamy niebawem, podobno bowiem p. Podwyszyński przetłumaczył jeden z nich (*Menonita*) i niebawem mamy go ujrzeć na scenie. Bohaterem jest młody chłopiec, walczący z przesądami sekty i w walce tej z fanatyzmem ginący. Przekład miarowym wierszem poprawny.

— Artyści teatru naszego pozbawieni byli źródeł taniego kredytu, poczynili podobno odnośne starania o wyszukanie funduszów na kasę pożyczkową. Pierwszy kamień położyła ich dostojna koleżanka Modrzejewska.

Zmarli:

Antoni Edward Odyniec, towarzysz lat młodych Mickiewicza, znakomity tłumacz utworów poetycznych, autor wysokiej wartości «Wspomnień» i «Listów z podróży» dość wybitnego talentu poeta, człowiek dobrego serca, obywatel dobrej woli, zmarł w Warszawie d. 13 Stycznia r. b.

X. Zygmunt Goljan, prałat-kanonik, niepospolitych zdolności kaznodzieja, cięty polemista katolicki, autor wielu broszur religijnych i polemicznych, zmarł w Wieliczce d. 21 Lutego.